CYWILIZACJA I PIĘKNO TATR

Str. 1 i 3

EKSCERPTY Str. 8

NA CO IDĄ PIENIĄDZE?

Str. 3

SKĄD PADŁY STRZAŁY?

„PSTRĄG" W SOSIE WŁASNYM Str. 10

JUŻ W NASTĘPNYM NUMERZE

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 14 (904) 3 KWIETNIA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Bełchatów na stałe wkroczył na łamy naszej prasy. Fascynacja ogromem zadań gospodarczych jakie ma do spełnienia jest olbrzymia. Miliony ton wydobytego węgla, setki milionów wyprodukowanych kilowatów energii elektrycznej nie mogą jednak wymazać z horyzontu naszych działań celu ostatecznego, jakim jest człowiek. Dlatego też dobrze się dzieje, że owo zagadnienie widzi się we właściwych wymiarach i świetle, nadając mu stosowną rangę. Niedawno pisał o tym R. Binkowski, dziś do tematu tego wraca Jan Bąbiński w artykule „Niżej powiatowego szczebla", sygnalizując niepowtarzalną szansę stworzenia właściwego zaplecza kulturalnego.

Do spraw ludzkich, w kontekście jednak ochrony naturalnego środowiska, nawiązuje również J. T. Siciński. Niestety cywilizacja, turystyka i ochrona przyrody nie są to pojęcia jednoznaczne, a jak wskazuje codzienna praktyka — niejednokrotnie wzajemnie się wykluczają. Z tego też względu uwagi autora, już teraz na początku sezonu turystycznego, są niezwykle aktualne dla wszelkiej rangi turystów i organizatorów masowego wypoczynku na łonie natury.

Miłośnicy dobrej i przyjemnej literatury znajdą w bieżącym numerze teksty „Ekscerptów" Zygmunta Fijasa. Zapraszamy więc do ich lektury, gwoli zabawy, refleksji i nauki.

Opublikowanie „Listu gończego" okazało się skutecznym sposobem działania, gdyż kierując się wskazówkami nadesłanymi przez Czytelników, udało nam się skompletować „pełen zestaw" naszych stałych felietonistów. Piszą więc: i Rodak, i Widok, i Ćwiek, a także B. Madej i Lektor. Natomiast Jacek Bromski snuje swoje rysunkowe story w „Magazynie".

REPORTAŻ

JAN BĄBIŃSKI

NIŻEJ POWIATOWEGO SZCZEBLA

Amerykanie są co do tego święcie przekonani, że film, który kosztuje 2 miliony dolarów musi siłą faktu być dwa razy lepszy od filmu za milion dolarów. „Via dolorosa", droga usłana dolarami, im grubszy na niej leży dywan zielonych banknotów, tym sukces pewniejszy i dzieło wzniesione samym rozpędem na szczyty filmowego artyzmu i aktorsko-reżyserskiego kunsztu. Tymczasem, ku rozpaczy bossów z Hollywood, klapa okazała się zupełna i blamaż całkowity. Choć „Kleopatra" kosztowała aż 13 milionów dolarów, to jednak widzowie zgodnym orzekli chórem, że takiej chały to już dawno nie oglądali, drewno nie film, zakalec nie do strawienia, kukły w nim grają z gabinetu figur woskowych a nie żywi ludzie. Nawet znamienity Plutarch, ten od filozofii i od moralności, na którego dziełach oparto scenariusz „Kleopatry" nie uratował filmu i publiczności do kas nie napędził. Wprawdzie im słabszy film tym silniejsi powinni być widzowie, lecz i ludzka wytrzymałość ma granice na „via doloris".

Może cała ta krytyka, to typowe jedynie dla pięknoduchów wybrzydzanie, bo ci dostojni panowie zwykli chadzać na wysokich koturnach i trudno im niezmiernie dostrzec, że film to sztuka na wskroś ludowa, przez ogół akceptowana, zatem taka, że wszystkim winna być dostępna i przez wszystkich zrozumiała. Oni by chcieli nie wiadomo co, a widz masowy i przeciętny przepada za filmem właśnie prostym, który jak poczytna naprawdę książka ma swój początek, ma środek i ma też zakończenie. Cóż na to odpowiedzieć? W Łodzi „Kleopatra" cieszyła się powodzeniem względnym, w Bełchatowie wniosła do kas kina „Pokój" kilkanaście zaledwie tysięcy złotych.

Dobre i to, oczywiście, ale kudy „Kleopatrze" do „Chrzestnego Ojca", który szedł w tymże Bełchatowie 6 dni i obejrzało go 6 tysięcy osób. Naród walił z bliska i z daleka na filmową sagę o sycylijskiej mafii, która rozkorzeniła się szeroko na amerykań-

Dalszy ciąg na str. 5

ŚRODOWISKO

Kilkadziesiąt lat temu Zakopane było małą wioską góralską, przypominającą dzisiejszy Dzianisz, Małe Ciche czy też Witów. Nadanie statutu uzdrowiska i wybudowanie w 1899 r. linii kolejowej, łączącej Zakopane z Krakowem przez Chabówkę, przyczyniło się do spopularyzowania tej miejscowości.

Zapotrzebowanie na kwatery spowodowało żywiołową, bezplanową, tandetną zabudowę, która do dziś realizowana jest pod Giewontem, wyrażając się w obliczu architektoniczno-urbanistycznym miasta. Zmienił się jedynie obraz budowanych pensjonatów, domów, hoteli i szkół, z upływem czasu coraz częściej zasłaniających Tatry. Wiele monumentalnych budowli nie ma nic wspólnego ze stylem zakopiańskim.

Rosnące zainteresowanie turystyką pociąga za sobą rozbudowę dalszych urządzeń turystycznych i rozrywkowych. Większa urbanizacja, ze wszystkimi swymi ujemnymi skutkami, prowadzi często do dewastacji środowiska przyrodniczego. Duże miejscowości wypoczynkowe przekształcają się w wielofunkcyjne miasta z biurami, urzędami, magazynami, sklepami, kinami, szkołami, pralniami i wszystkim, co wymyśliła cywilizacja. Czy grozi coś podobnego Zakopanemu?

Do Zakopanego przyjeżdża wszystkimi możliwymi środkami lokomocji każdego roku coraz więcej turystów i nikt chyba naprawdę nie wie ilu, a ich „liczenie" ma charakter symboliczny, stwarza okazję do kolejnego jubileuszu. Część owych „miłośników gór" to „turyści", którzy swój bieg kończą na Krupówkach w „Watrze", „Wierchach", „Morskim Oku", Szarotce" lub „Giewoncie". A jeśli już wybierają się w góry — to do „Gubałówki" (1200 m npm) gdzie dowozi ich kolejka, zbudowana w 1938 roku.

NATURA I CYWILIZACJA

Ubiegły rok był wyjątkowo tłusty pod względem zakończenia budowy nowych hoteli. Wystarczy wymienić „Kasprowego" na 600 łóżek, „Gazdę", „Warszawiankę" i hotel „Juventurę",

Dalszy ciąg na str. 3

JAN T. SICIŃSKI

CYWILIZACJA i PIĘKNO TATR

„ZMILITARYZOWANA" NAFTA Z MORZA PÓŁNOCNEGO

Wydatki na zbrojenia w NATO są bardzo duże. Tylko w ubiegłym roku europejskie państwa Paktu Północno-Atlantyckiego wydały na zbrojenia 44,4 mld dolarów, zwiększając swoje budżety wojskowe o ponad 4 mld dolarów w stosunku do roku 1973. Stany Zjednoczone wydały w roku ubiegłym 84,3 mld dolarów, a Kanada ponad 2 mld dolarów. Oba te państwa wydały na zbrojenia w 1974 r. o 2 mld dolarów więcej niż uprzednio planowano.

W grupie europejskich państw NATO utrzymuje się atmosfera zwiększenia wyścigu zbrojeń, atmosfera podsycana przez siły, które w zwiększonej produkcji zbrojeniowej widzą swój prywatny interes. Europejskie państwa NATO zamierzają w dalszym ciągu modernizować uzbrojenie i wyposażenie swoich sił zbrojnych. Republika Federalna Niemiec planuje wzmocnić Bundeswehrę o 30 000 żołnierzy. Siły zbrojne europejskich państw NATO otrzymują więcej o ponad 500 nowych czołgów, około 1200 dział artyleryjskich, 1400 rakiet i dział przeciwlotniczych. Niezależnie od tego planuje się, że do końca 1978 r. setki samolotów sił powietrznych Paktu Północno-Atlantyckiego otrzymają nowoczesną aparaturę elektroniczną, a ponad trzy tysiące czołgów otrzyma nowe typy armat. Dotychczas siły powietrzne NATO posiadają na swym uzbrojeniu 25 różnych typów samolotów, a siły lądowe 15 typów różnych czołgów.

Przewiduje się także rozwój strategicznych środków o zasięgu międzykontynentalnym, zwiększenie ruchliwości i potencjału uderzeniowego, wzrost siły ognia zarówno konwencjonalnego, jak również jądrowego, rozbudowywanie podziemnych stanowisk kierowania i dowodzenia oraz wzmożoną aktywność dywersyjną szczególnie w dziedzinie ideologicznej.

Kierownicze koła wojskowe NATO wystąpiły z niebezpiecznym planem, którego celem jest ustanowienie atlantyckiej kontroli nad obszarem Morza Północnego i Norweskiego. W rzeczywistości nie jest to nowy plan, ale obecnie stratedzy NATO w inny sposób usiłują uzasadnić realizację swoich zamiarów. Dziś chodzi głównie o naftę pod dnem Morza Północnego i Norweskiego. Twierdzą, że naftę tę należy „zabezpieczyć". Proponują, aby na każdej platformie wiertniczej, bez względu na jej przynależność państwową, zainstalować wojskowe urządzenia radioelektroniczne i hydrauliczne, obsługiwane przez personel wojskowy, posiadający do swej dyspozycji odpowiednią ilość broni i amunicji.

Projekt strategów Paktu Północno-Atlantyckiego ustanowienia atlantyckiej kontroli nad obszarem Morza Północnego i Norweskiego może doprowadzić do napięcia międzynarodowego, a tym samym zaszkodzić odprężeniu w Europie. Próba zmilitaryzowania wież wiertniczych i kontroli żeglugi jest sprzeczna z prawem międzynarodowym. Szlaki żeglugowe na morzach i oceanach, jeśli biegną poza wodami terytorialnymi, są międzynarodowe. Plan ustanowienia kontroli Paktu Północno-Atlantyckiego nad wodami Morza Północnego i Norweskiego jest ewidentnym przykładem agresywnych dążeń kierowniczych kół wojskowych NATO.

JAN POWAŁA

KWIECIEŃ - MIESIĄCEM PAMIĘCI NARODOWEJ

Od wielu już lat we wszystkich krajach Europy kwiecień jest miesiącem międzynarodowej solidarności byłych żołnierzy ruchu oporu i byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. W Polsce — kwiecień jest także miesiącem pamięci narodowej.

W roku bieżącym ma on szczególny charakter, przypada bowiem w roku trzydziestolecia zwycięstwa nad faszyzmem, a dzień 9 maja ustanowiony został świętem narodowym.

W miesiącu pamięci narodowej co roku przypominamy czyny tych, którzy zginęli w walce, zostali rozstrzelani i wymordowani w hitlerowskich obozach masowej zagłady. W uchwale Biura Politycznego KC PZPR w sprawie 30-lecia zwycięstwa nad faszyzmem czytamy m. in. „Polska była pierwszą ofiarą hitlerowskiej napaści zbrojnej. Agresja faszystowskich Niemiec na nasz kraj we wrześniu 1939 roku zapoczątkowała drugą wojnę światową. Pokolenia Polaków będą zawsze pamiętać o bezmiarze cierpień i bohaterskiej walce naszego narodu. Pozostanie w historii na zawsze, że naród nasz, odrodzone ludowe państwo, Wojsko Polskie wniosły w zwycięstwo nad III Rzeszą wkład godny naszych najlepszych tradycji".

Nawiązując do zrodzonego w toku wojennych zmagań polsko-radzieckiego braterstwa broni, uchwała stwierdza, że naród polski wszystkie jego pokolenia zachowają na zawsze w pamięci historyczną rolę Związku Radzieckiego w wyzwalaniu naszej ojczyzny, zachowają pamięć o tych, którzy oddali swe życie niosąc nam wolność.

Warto również pamiętać, że 15 kwietnia br. obchodzony będzie w Polsce i we wszystkich krajach Europy — dzień kombatanta.

WANDA LIPIEC

25 lutego 1975 roku zmarła dr Wanda Lipiec. Żyła i pracowała w Łodzi. Urodzona 6 lutego 1900 roku, opuściła Łódź tylko na czas studiów filologicznych, które odbyła w Krakowie. Ukończyła je w roku 1924, uzyskując pod kierunkiem prof. Ignacego Chrzanowskiego stopień doktora za rozprawę „Poetyka Przybyszewskiego". W latach 1925—1939 była nauczycielką języka polskiego w Gimnazjum im. E. Orzeszkowej w Łodzi. W tym czasie związała się z kręgiem najbardziej rzutkiej inteligencji łódzkiej. Tej, która pracowała w miejscowym oddziale Wolnej Wszechnicy Polskiej oraz wydawała ukazujące się do dziś „Prace Polonistyczne". W trzecim tomie tego pisma z 1939 roku można przeczytać, że dr Wanda Lipiec wespół z dr Stefanią Skwarczyńską, dr Wilhelmem Fallekiem, mgr J. Z. Jakubowskim i innymi należała do redakcji programów teatralnych dla młodzieży szkolnej. Redakcja programów teatralnych była częścią Komisji Teatrologicznej Towarzystwa Polonistów RP, utrzymującej żywe kontakty z Teatrem Miejskim w Łodzi i Kołem Dyrektorów Szkół Średnich.

W okresie okupacji dr Lipiec nauczała w tajnych kompletach, a po wyzwoleniu była najpierw wykładowcą Wyższej Szkoły Pedagogicznej, a w latach 1951—1970 pracowała w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. L. Schillera, gdzie wykładała historię literatury i teatru.

Po wojnie dr Wanda Lipiec znacznie rozszerzyła swoje zainteresowania badawcze. Do wcześniejszych studiów nad literaturą modernistyczną doszły prace o teatrze i kulturze łódzkiej. Najpoważniejszym osiągnięciem dr Lipiec jest książka wydana w roku 1960 pt. „Zelwerowicz i scena łódzka". Przedstawiła w niej czterokrotny pobyt Aleksandra Zelwerowicza w Łodzi, jego prace aktorskie i reżyserskie oraz bogatą działalność popularyzatorską i społeczną. W publikacji tej znalazł się również wstęp: „Teatr łódzki w końcu wieku XIX", będący cennym przyczynkiem do historii łódzkiej sceny. Książkę poprzedziły dwa artykuły ogłoszone w „Pracach Polonistycznych" w roku 1957 i 1960: „Inscenizacja „Dziadów" Mickiewicza na scenach łódzkich w latach 1908—1910" i „Inscenizacja „Samuela Zborowskiego" w teatrze łódzkim w r. 1911".

Wanda Lipiec prowadziła również badania nad powstaniem stałej sceny polskiej w Łodzi w końcu XIX i na początku XX wieku. Jeszcze w lutym tego roku opracowała rozdział poświęcony właśnie tej tematyce, który znajdzie się w monografii „Łódź. Dzieje miasta", przygotowywanej obecnie przez zespół historyków łódzkich pod redakcją prof. Bohdana Baranowskiego. Wcześniej, bo w roku 1973, w „Bibliotece Wiedzy o Łodzi" wydała szkic pt. „Kultura i oświata w Łodzi w okresie międzywojennym". Współpracowała również z redakcją „Odgłosów".

Dr Wanda Lipiec brała żywy udział w pracach Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, a szczególnie w Komisji Teorii Literatry. Od lat osiemnastu była też związana z „Zagadnieniami Rodzajów Literackich", gdzie publikowała recenzje i omówienia prac zagranicznych z dziedziny teorii literatury i sztuki.

Dr Wanda Lipiec zasługuje na serdeczną pamięć jako badacz, jako wychowawca i jako człowiek. Jej wychowankowie zatrzymali zapewne tę cząstkę wiedzy o literaturze i teatrze, którą z niezwykłym poczuciem odpowiedzialności próbowała im przekazać.

Łódź straciła historyka, który z wielką pasją i przenikliwością opisywał jej przeszłość.

30 - LECIE PAŃSTWOWEGO LICEUM SZTUK PLASTYCZNYCH

PLSP — to Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych. 30 — bo szkoła ta w 1975 roku obchodzi trzydzieści lat swego istnienia. Powstała w lutym 1945 roku jako Państwowa Szkoła Przemysłu Artystycznego. Najpierw czas nauki trwał dwa lata, a od 1947 — cztery lata i dopiero w 1967 r. — po reformie szkolnictwa średniego — został ustalony na pięć lat.

Przez 30 lat istnienia PLSP przeszło wiele przemian. Do roku 1952 istniał w szkole dział introligatorski, który zamieniono na grafikę filmową. Od 196" roku szkoła otrzymała specjalizację dekoratorską, a jej absolwenci otrzymywali tytuł technika dekoratora. W ubiegłym roku szkolnym specjalizacja ta została zmieniona na wystawiennictwo.

Przez 30 lat istnienia szkoły opuściło ją 1 002 absolwentów. Wielu z nich ukończyło studia wyższe i odnosi dziś artystyczne sukcesy. Również wśród pracowników wyższych uczelni artystycznych i wśród wykładowców szkoły są byli absolwenci Liceum.

Szkoła utrzymuje liczne związki z dzielnicą i miastem, realizując społecznie różne prace dekoratorskie. Bierze też udział w licznych i różnorodnych wystawach krajowych i międzynarodowych, wystawiając prace uczniów. Na swoim koncie PLSP posiada szereg wyróżnień i nagród: pierwszą nagrodę na ogólnopolskim konkursie malarskim „Kopernik i jego idea", główną nagrodę na międzynarodowej wystawie, organizowanej w Jugosławii przez UNESCO za estaw prac pt. „Moja ojczyzna" wyróżnienie na ogólnopolskim konkursie „Idea Lenina w Polsce Ludowej".

Szkole, jej wykładowcom i uczniom gratulujemy sukcesów i życzymy dalszych osiągnięć twórczych i dydaktycznych!

B. M.

NIE TYLKO HISTORIA

Z RADZIECKICH POLONICÓW

Instytut Słowianoznawstwa i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSRR ma w swym dorobku długą listę publikacji, dotyczących historii Polski. Ukazują się one często w postaci zbiorów tematycznych, tomów studiów i materiałów, poświęconych jednemu ważnemu problemowi bądź kompleksowi zagadnień. Taki właśnie charakter posiadały dobrze znane dziś historykom polskim wydawnictwa zbiorowe, poświęcone polsko-rosyjskiej rewolucyjnej współpracy w okresie powstania styczniowego, opublikowane w latach 1960 i 1962 a także inne, by wymienić tom „Rewolucyjna Rosja i rewolucyjna Polska" (1967), publikację p.t.: „Związki rewolucjonistów Rosji i Polski XIX — początku XX w." (1968), książkę „Lenin i Polska. Problemy, kontakty, echa" (1970) oraz tomy „Studia historyczno-socjologiczne" (1970) i „Studia z historii polskich ruchów społecznych XIX — początków XX w." (1971), z których zdawaliśmy już sprawę na łamach „Odgłosów". Do tej listy tytułów dodać dziś trzeba nowy zbiór studiów i materiałów, ogłoszony drukiem w Moskwie w 1974 r., opatrzony tytułem „Ruchy społeczno-polityczne w Europie środkowej w XIX — początku XX w.", opublikowany przez Instytut Słowianoznawstwa i Bałkanistyki AN ZSRR pod redakcją znanego historyka, specjalizującego się w problematyce polskiej — I.S. Millera. Wprawdzie zbiór ten ma szerszy zakres tematyczny, jednakże problematyka historii Polki zajmuje w nim wiele miejsca: dotyczy jej siedem prac z dziewiętnastu, składających się na całość wydawnictwa.

Historyk A.M. Orechow — znany polskiemu czytelnikowi przede wszystkim jako autor interesującej monografii „Ruch socjaldemokratyczny w Rosji i polscy rewolucjoniści 1887 — 1893", opublikowanej w 1973 r. — przedstawił wyniki badań nad archiwum wybitnego rosyjskiego rewolucjonisty Piotra Ławrowa. Uczonemu udało się odnaleźć w tym archiwum arcyciekawe listy, rzucające sporo nowego światła na dzieje warszawskich kółek rewolucyjnych przed 1880 rokiem. Są to listy Józefa Tomasza Uziębły (1854 — 1918). W latach 1876 — 1877 będąc studentem uniwersytetu w Moskwie prowadził on działalność agitacyjną w środowiskach robotniczych i studenckich. Zagrożony aresztowaniem, udał się do Paryża, gdzie zbliżył się do P. Ławrowa i wstąpił do utworzonego przezeń kółka socjalistycznego. Przyjął obowiązki jego emisariusza i już w 1878 r. pod nazwiskiem Biesiadowskiego wyruszył do Rosji, gdzie nawiązał kontakty z przedstawicielami różnych środowisk rewolucyjnych. Był w Petersburgu, w Moskwie i Wilnie, następnie zaś przybył do Warszawy, gdzie już od roku działało kółko socjalistyczne, na którego czele stał Ludwik Waryński. Było zupełnie zrozumiałe, że J. Uziębło szybko wszedł w warszawskie środowisko rewolucyjne. Przez cały czas swego pobytu w Warszawie informował P. Ławrowa o sytuacji, aktywności polskich i rosyjskich socjalistów i innych ważnych sprawach: te właśnie listy udało się odkryć A.M. Orechowowi. Nie jest ich wiele — zaledwie osiem — w dodatku nie są one całkowicie czytelne, bowiem J. Uziębło w obawie przed policją używał niekiedy trudnego dziś do rozwiązania szyfru, zwłaszcza wówczas, kiedy informował o działalności konkretnych osób, poszukiwanych przez carskie władze. Niemniej są to przekazy wysokiej wartości dla polskiego historyka.

Praca A.M. Orechowa nie wyczerpuje zawartości tego interesującego tomu. Przynosi on także studium L.E. Wołkowicza „Niektóre zagadnienia teorii rewolucyjnej w polskich drukach socjalistycznych drugiej połowy lat osiemdziesiątych XIX w.", oparte o doskonałą znajomość prasy socjalistycznej, poświęcone problematyce programów ruchu socjalistycznego, rozprawę S.M. Steckiewicz o socjalistycznej propagandzie wśród robotników Królestwa Polskiego w latach 1893 — 1895, wreszcie opartą przede wszystkim o bogaty materiał archiwalny pracę B.J. Tabacznikowa „Ruch strajkowy w Królestwie Polskim w okresie wzrostu fali rewolucyjnej w latach 1910 — 1914". Autor tej ostatniej rozprawy skupił swą uwagę na związkach między ruchem strajkowym w Królestwie Polskim a walką proletariatu w Rosji. Praca ta przynosi sporo nowego materiału również i do dziejów ruchu strajkowego w Łodzi. Czy nie warto byłoby jej — choćby w skrócie — udostępnić naszym czytelnikom w polskim tłumaczeniu?

Tematyki polskiej dotyczą w omawianym zbiorze również inne prace. Są to: niewielki artykuł J.I. Sztejnberg o pamiętnikach węgierskich uczestników powstania styczniowego, interesujące ze względu na metodę badawczą studium J.I. Sztakelberg o strukturze organizacji powstańczej w latach 1862 — 1864 na podstawie danych sfragistycznych, wreszcie praca T.F. Fiedosowej przynosząca publikację listu Bronisława Szwarcego z 1876 r. o projekcie utworzenia „nowej niezawisłej Polski" na wyspach Oceanii. Chodzi tu o znany projekt Piotra Wereszczyńskiego z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, który przewidywał utworzenie na północno-wschodnim wybrzeżu Nowej Gwinei polskiej kolonii, która stałaby się demokratyczną „Nową Polską". Koncepcje te zyskały sobie wówczas znaczną popularność i były na serio rozważane przez licznych działaczy i publicystów. B. Szwarce, znany działacz „czerwonych" z powstania styczniowego, znajdował się na zesłaniu w Tomsku, jednakże dzięki pomocy lekarza D. Romanowskiego mógł prowadzić korespondencję, rzecz jasna, nie zawsze pod własnym nazwiskiem. W maju 1876 r. P. Wereszczyński otrzymał od B. Szwarcego dziesięciostronicowy list zawierający ocenę projektu, którym zainteresowali się polscy zesłańcy w Tomsku. List B. Szwarcego wyrażał zapatrywania grupy osób, rozważał z pozycji demokratycznych zagadnienia przyszłego ustroju Polski, warunki osiedlenia itd. W odróżnieniu od innych listów, udzielających poparcia projektowi P. Wereszczyńskiego, nie został on współcześnie opublikowany — najprawdopodobniej — jak sądzi T.F. Fiedosowa, ze względu na wyrażoną w nim niechęć do katolicyzmu. A dokument to bardzo interesujący. Jakaż to ma być owa Nowa Polska — zapytywał B. Szwarce. Jakie zwyczaje i prawa narodowe należałoby wskrzesić i zachować? „W tym cała trudność. Mniejsza o prawa: cały świat się dziś trzyma wiecowego czyli tam respublikańskiego porządku, a istnieją tylko odcienia: bo konstytucyjna monarchia jest taką rzecząpospolitą jak i drugie z dziedzicznym prezydentem: Polacy, którzy mieli wolność i Konstytucję kiedy cała prawie Europa służyła despotom, nie przyjmą z pewnością ani chańskiego, ani feudalnego porządku. Ale co do obyczajów, a głównie co do religii, rzecz się ma zupełnie inaczej. Jeżeli idzie o wskrzeszenie Polski przedrozbiorowej, jeśli katolicka wyłączność ma być podstawą naszej nowej ojczyzny (...), to można naprzód zawyrokować, że taka próba na nic się nie zda." Były to słowa B. Szwarce — wówczas, kiedy były pisane, nie wszystkim musiały się podobać.

LEKTOR

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BIŃKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

ŚRODOWISKO

Dalszy ciąg ze str. 1

aby uświadomić sobie ilość łóżek czekających na potencjalnych przybyszów z dużych aglomeracji miejskich, miasteczek i wsi, szukających rozrywki, spragnionych pięknych widoków i słońca. Władze miasta zapowiadają rychłe rozpoczęcie budowy okazałego centrum kultury, a także wielkiej hali widowiskowo-sportowej.

Teren Skalnego Podhala należy dziś do najszybciej urbanizujących się obszarów w Polsce. Przestrzeń między Nowym Targiem a Zakopanem robi wrażenie ogromnego placu budowy, gdzie wille i domy mieszkalne wyrastają jak przysłowiowe „grzyby po deszczu".

Celem właściwszego zagospodarowania i racjonalnego wykorzystania rejonu tatrzańskiego od **1 kwietnia 1973 r.** podporządkowane zostały Miejskiej Radzie Narodowej w Zakopanem Gminne Rady Narodowe w Kościelisku-Witowie oraz w Poroninie. Podobny cel przyświecał władzom przy powołaniu Tatrzańskiego Przedsiębiorstwa Turystycznego „Tatry", jedynego organizatora obsługi turystyki krajowej i dysponenta miejsc noclegowych w kwaterach prywatnych na obszarze tatrzańskiej aglomeracji turystycznej. Stworzono także **Tatrzański Fundusz Rozwoju,** gromadzący środki na organizację nowej bazy turystycznej.

W ostatnich dwu latach wiele zrobiono i nadal czyni się w zakresie ochrony naturalnego środowiska w Zakopanem i obszarze otaczającym. Wystarczy wymienić choćby elektryfikację i przebudowę linii kolejowej Skawina — Sucha — Zakopane, doprowadzenie gazu ziemnego, wprowadzenie zakazu wjazdu samochodów do pewnych rejonów, rozbudowa terenów zielonych itp. W zabudowie naszego kurortu brak często przestronności i oddechu, połączenia funkcjonalności z estetyką, które tak często można obserwować po drugiej stronie Tatr, w Tatrzańskiej Łomnicy, Smokowcu i Szczyrbskim Jeziorze. Sposobów turystycznego zagospodarowania Podtatrza jeszcze długo musimy uczyć się od Słowaków.

KTO JEDZIE W GÓRY?

Coraz częściej spotyka się „turystów" tylko z nazwy, którzy w nienagannie skrojonych sukniach i garniturach pędzą na tzw. skróty — na Giewont lub Kopieniec. Ludzie często idą w góry po to, aby zaliczyć jeszcze jeden szczyt. Dla części owych **„pożeraczy tras"** szlaki są jedynie czynnikiem ograniczającym wolność poruszania się na **„łonie przyrody".** Jakże często zapominają lub też nie wiedzą, że szlak jest najekonomiczniejszy ze względu na wysiłek i najciekawszy krajobrazowo. Nagminne jest wydeptywanie nowych szlaków, poszerzanie ścieżek z każdej strony, zrywanie roślin — to tylko niektóre przykłady bynajmniej niewzorowego postępowania. Na wyjątkowo duże natężenie hałasu, beztroskiego krzyku i głośne granie tranzystorów, narażone są okolice TPN: **Morskie Oko, Dolina Kościeliska, Kasprowy Wierch i Giewont.** Morskie Oko odwiedza w letni dzień świąteczny od 15 do 20 tys. osób (dzień powszedni 8—12 tys. osób), natomiast w Dolinie Kościeliskiej w taki sam dzień przebywa około 4 tys. osób. Badania wykonane w letni dzień 1966 roku pozwoliły doliczyć się około 9 tys. osób, pragnących znaleźć się na najpopularniejszym szczycie Tatr — Giewoncie.

Osiem lat, jakie upłynęły od wykonanych badań, zaznaczyły się znacznym rozwojem motoryzacji i wzrostem stopy życiowej ludności, co z kolei spowodowało częstsze wyjazdy ludzi pracy i młodzieży do rejonów o dużych wartościach wypoczynkowych. Poważny odsetek „niedzielnych turystów" przyjmuje TPN, obszar o znacznej koncentracji ruchu turystycznego, gdzie liczba turystów w stosunku do pojemności i przepustowości środowiska przyrodniczego została dość dawno przekroczona. Odcinek asfaltowanej drogi, między potężnym parkingiem „Włosienica" a Morskim Okiem, ma w sobie coś z deptaka i promenady, a natężeniem ruchu przypomina godziny szczytu na ulicy Piotrkowskiej.

NAGI SZCZYT

Dużą część „turystów" do serca Tatr dowozi kolejka linowa z Kuźnic na **Kasprowy Wierch.** Na ten sam szczyt z Hali Gąsienicowej oraz Hali Goryczkowej kursują wyciągi krzesełkowe. Kasprowy Wierch dzięki „wytężonej pracy" kolejki linowej w sezonie letnim „przyjmuje i udziela gościny" około 3 tys. osób, łaknących pięknych widoków wysokogórskich. Rejon szczytu jest najlepszą ilustracją faktu, że duża koncentracja ruchu turystycznego stanowi bezpośrednią przyczynę dewastacji naturalnego środowiska przyrodniczego oraz degradację walorów krajoznawczo-turystycznych.

Aktualnie **„rozdeptany" Kasprowy Wierch,** z nagą skałą, stanowi wielki problem przyrodniczy. Rekultywacja szaty roślinnej to nie tylko ogromne wydatki finansowe, ale także sprawa opracowania metod wprowadzania i utrzymania roślinności na zniszczonych obszarach. Ogrodzenia licznych ścieżek i księżycowy krajobraz na szczycie dają najlepszą odpowiedź zwolennikom ucywilizowania małych Tatr, którzy na każdym szczycie chętnie widzieliby kolejkę lub wyciąg, lokal kategorii „S" i różnokolorowy neon z nazwą szczytu.

Schroniska górskie, zlokalizowane w Tatrach, stanowią około 50 proc. bazy noclegowej terenów górskich woj. krakowskiego. Stosunkowo duża ich koncentracja, a poza tym, znaczna wielkość, powodują wiele kłopotów w zakresie ochrony środowiska. Bez zbytniego wysiłku i skomplikowanej aparatury badawczej, a jedynie za pomocą powonienia łatwo ocenić efektywność schroniskowych oczyszczalni ścieków, zrzucających słabo oczyszczone ścieki do naturalnych zbiorników wodnych, jakimi są górskie potoki. Złą eksploatacja, nie najlepsza konserwacja, a także ich niski poziom techniczny sprawiają, że potoki zasilane są dużą ilością ścieków, niszczących ich naturalny skład biologiczny (Murowaniec, Kasprowy Wierch, Morskie Oko, Dolina Chochołowska). Obraz nie byłby pełny, gdyby nie uwzględnić hałasu i spalin samochodów zaopatrujących schroniska, głośno pracujących agregatów prądotwórczych, rozdeptania terenu wokół (erozja turystyczna), zsypisk śmieci, unoszących się dymów z palenisk schroniskowych itd.

JAN T. SICIŃSKI

CYWILIZACJA I PIĘKNO TATR

REQUIEM DLA SZAŁASU

Taki tytuł nosiła interesująca wystawa fotograficzna **Jana Rączki,** zorganizowana w ramach ubiegłorocznej **„Jesieni tatrzańskiej"** przez ZPAP, BWA i Klub Międzynarodowej Prasy i Książki. Jan Rączka, architekt, absolwent Politechniki Krakowskiej, zamiłowany fotografik i podróżnik; mieszkaniec Krakowa, od dzieciństwa związany z górami i dlatego chyba wyczulony na to, co z nimi związane. Przy pomocy kilkunastu fotogramów przedstawił wyjątkowe piękno oraz smutny los tatrzańskich szałasów. Umiejętność wydobycia ich urzekającej misterności, a z drugiej strony pokazanie ich fatalnego stanu, zmusiło licznie odwiedzających wystawę do zadumy nad starym budownictwem góralskim. Obraz nielicznych szałasów na halach (Polana Chochołowska, Pol. Stoły, Pol. Kopieniec i inne) oraz artystyczny dokument Jana Rączki nie przepowiadają im długiego żywota, skoro ich ratowanie nie nastąpi w porę. Dobrze się stało, że ta potrzebna ekspozycja przyszła w odpowiednim momencie i potrafiła poruszyć serca i umysły ludzi związanych z Tatrami nie tylko uczuciowo. Szałasy to nie tylko stare budownictwo kamienno-drewniane, ale także atrakcja folklorystyczno-turystyczna i możliwość zabezpieczenia turystów przed trudnymi warunkami atmosferycznymi.

Coraz częściej uciekamy z miast pełnych hałasu, zatrutego powietrza i cuchnącej wody, szukając autentycznej przyrody i powrotu do natury. Uciekamy w góry, gdzie również z każdym dniem mniej swojsko, mniej górsko, natomiast więcej tego, od czego tak chętnie oddaliliśmy się. Homo faber najczęściej ma zapewniony całokształt optymalnych warunków do pracy, ale gorzej z możliwościami środowiskowymi dla wypoczynku tego samego człowieka — Homo ludens — w innym czasie.

Formalnie nie ma sprzeczności między turystyką a ochroną przyrody. Co więcej, turystyka, jedna z nielicznych dziedzin gospodarczych, jest wyjątkowo zainteresowana w ochronie naturalnego środowiska przyrodniczego — całego bogactwa jego składników, unikalnych właściwości klimatycznych, czystości wód i powietrza oraz piękna pejzażu. Prawda jest zgoła inna. O wyglądzie Tatr i innych ziem atrakcyjnych zadecydują „specjaliści", „kolejkarze", technokraci, zwolennicy „ułatwionej turystyki" i „upiększania" z rozlicznych, szacownych biur pracowni i zespołów kompleksowego zagospodarowania Tatr i Podtatrza i w ogóle całych ziem górskich. Jedynie pocieszającym faktem jest to, że te wielce potrzebne instytucje są ciągle w stadium nowych reorganizacji, a opracowane programy kompleksowej ochrony i kształtowania środowiska nie mogą doczekać się realizacji.

Człowiek swoją rabunkową gospodarką wyrządził dostatecznie wiele krzywdy przyrodzie Tatr. Już dziś efekty owych nieprzemyślanych posunięć możemy obserwować w postaci lawin, powodzi oraz wiatrołomów — zachwianej równowagi biologicznej. Dzisiaj, po uporaniu się z wieloma problemami ochrony Tatr, pozostał jeden i chyba najważniejszy — masowa turystyka. Nie popadamy w „przesadyzm" i nie proponujemy zamknięcia Tatr przed tysiącami **„ócz i serc, dla których przedtem nie istniały"** (J. G. Pawlikowski), nie sugerujemy wprowadzenia superprzepustek, ale czas najwyższy, aby przejść od turystyki określanej „spalinowo-alkoholową" do indywidualnej, od dużej koncentracji do deglomeracji, do prawidłowego sterowania nią. Sprzeciwiamy się „grasowaniu w krajobrazie" i „meblowaniu" urokliwych miejsc betonowymi pudełkami budowli, urządzeniami turystycznymi i centrami rozrywkowo-wypoczynkowymi.

Przy okazji warto przypomnieć, że powierzchnia parków narodowych w Polsce wynosi około 0,34 proc. powierzchni kraju, podczas gdy analogicznie w Czechosłowacji — około 10 proc., w Japonii — około 12 proc., w RFN — ok. 14,5 proc. Te liczby mówią same za siebie.

Fot. Józef Robakowski

OKO na GOSPODARKĘ

NA CO IDĄ PIENIĄDZE?

Wyobraźmy sobie taką sytuację: powiedzmy, że dysponujecie pewną ilością polskich złoczyńców i przed Wami Czytelnicy postawiono zadanie rozdzielenia tej kwoty pomiędzy kilka osób o zróżnicowanej pozycji społecznej, zawodowej, będących w rozmaitym wieku oraz sytuacji materialnej, przy czym chodzi o to, by ten podział uwzględniał indywidualne odczucia oraz potrzeby socjalno-materialne samych zainteresowanych, jak i ogólnospołeczne cele oraz preferencje...

Już widzę, jak z rezygnacją machacie ręką.

Tak, to prawda, że jest to ogromnie trudne zadanie, choć — przypomnę — proponowaliśmy je rozwiązać wobec stosunkowo nielicznej, ledwie kilkuosobowej grupy osób. A przecież i tak różnorodności ich sytuacji, indywidualnych odczuć znakomicie komplikuje rozwiązanie, tak by wszyscy mogli powiedzieć, iż zaproponowany podział zadowolił absolutnie wszystkich.

No cóż — chciałbym jednak zauważyć, że nie jest to bynajmniej czysto teoretyczna sytuacja, że spotykamy się z nią najpierw, gdy każdego roku ustalamy społeczno-ekonomiczne proporcje, a następnie przystępujemy do dzielenia wspólnego bochenka chleba jakim jest wypracowany d o c h ó d n a r o d o w y.

To dla jasności, no ażeby całą rzecz jeszcze bardziej urealnić, przybliżyć do życia chciałbym zaprezentować Czytelnikom rezultaty niezwykle ciekawych badań przeprowadzonych przez zespół naukowców z Instytutu Handlu Wewnętrznego.

„Próbkę" — jak to mówią statystycy — wybrano bardzo starannie, a stanowili ją mieszkańcy miast, osad i wsi, ludzie będący przedstawicielami różnych środowisk społecznych i tak jak to było w naszym „zadaniu" — znajdujący się w rozmaitej sytuacji materialnej, zawodowej, rodzinnej, wreszcie będący w różnym wieku. Natomiast celem badania przeprowadzonego za pośrednictwem anonimowych ankiet, było ustalenie, jakie kierunki należy uznać za szczególnie preferowane przez ludność zarówno jeśli chodzi o jej dochody pieniężne, jak i o dynamikę wzrostu społecznego funduszu spożycia, przez który należy rozumieć różnorodne świadczenia częściowo lub zupełnie bezpłatne.

No i teraz zrelacjonujmy to, co ustalili naukowcy.

Więc — można powiedzieć bez obawy o popełnienie jakiegoś błędu, że nasze społeczeństwo największą wagę przywiązuje do stosowania odpowiednich preferencji dla wzrostu płac. Taką opinię wyraziło ponad 60 proc. objętych przeprowadzoną przez Instytut Handlu Wewnętrznego ankietą, natomiast około 20 proc. postawiło na pierwszym miejscu renty oraz świadczenia emerytalne, wreszcie niespełna 9 proc. zapytywanych uznało za najważniejszą sprawę w tej dziedzinie zasiłki rodzinne.

Jeśli tak jest, a nie mamy powodów w to wątpić, to uzyskane i zaprezentowane tutaj rezultaty są odbiciem zjawisk społecznych, demograficznych i ekonomicznych. Można powiedzieć zresztą, że takiego wyniku można się było spodziewać patrząc na całą rzecz przez pryzmat osobistej sytuacji poszczególnych grup naszego społeczeństwa, którego reprezentantami byli objęci ankietą. Osoby w wieku produkcyjnym, zawodowo czynne zdecydowanie preferowały płace, gdy dla odmiany ludzie w podeszłym wieku, nawet jeszcze pracujący, wskazywali na potrzebę uprzywilejowania w posunięciach podziału „bochenka chleba" — rent i emerytur. Jest rzeczą interesującą, może nawet zastanawiającą, że wszelkiego typu zasiłki rodzinne nie cieszą się specjalnym uznaniem, mówiąc krótko — odmawia się im jakichś preferencji. Dokładnie: tylko 20 proc. rodzin wielodzietnych opowiada się za szybszym wzrostem zasiłków, natomiast reszta wskazuje na płace, jako najbardziej realny czynnik wzrostu dochodów, polepszenia warunków życia.

Można więc tutaj mówić o pewnym „egoizmie" — jeśli to słowo jest stosowane do takiego zjawiska, przy czym trzeba koniecznie w tym miejscu zauważyć, że nasze społeczeństwo dobrze wyczuwa aktualne potrzeby, jak i pewne tendencje, które mogą się jeszcze bardziej, wyraźniej zarysować w nadchodzących dopiero latach. Stąd też — choć 60 proc. ankietowanych stawia na wzrost płac, a 20 proc. na rozwój funduszu socjalnego — jako cel niezwykle ważny, lokowany na pierwszym miejscu w świadczeniach społecznych, stawia się budowę domów spokojnej starości, tuż za nimi idzie budownictwo szpitali, jeszcze szybszy rozwój rozmaitych placówek otwartego lecznictwa i opieki nad zdrowiem, wreszcie bardzo wielu respondentów wskazuje na inne potrzeby, takie jak zdecydowane rozszerzenie sieci przyzakładowych stołówek, budowa przedszkoli, żłobków, sanatoriów, ośrodków wypoczynkowych dla dorosłych i dla dzieci.

Tutaj pozwolimy sobie na pewną dygresję.

Otóż, wydaje się, że to powszechne niemal preferowanie rozwoju ilościowego placówek opiekuńczych dla osób starszych wiekiem, nie jest tylko rezultatem pewnych procesów demograficznych, które zachodzą w naszym społeczeństwie. Mimo wszystko — starzejemy się, coraz większą grupę stanowią między nami ludzie, którzy przekroczyli pewną barierę wieku. Ale — nie tylko do tego sprowadza się problem. Można chyba zaryzykować takie powiedzenie — mimo wszystkich zastrzeżeń — że współczesna nam rodzina nie jest zbyt dobrym azylem dla starego, wymagającego wzmożonej opieki człowieka. Natomiast aktualnie występujące sytuacje w tej dziedzinie i to zarówno w mieście jak i na wsi, wskazują społeczeństwu potrzebę rozwiązania tej sprawy w interesie i z korzyścią dla steranych życiem osób. Tak to przynajmniej wynika z ankiety IHW — choć powiedzmy sobie otwarcie, że nie jest to łatwy do rozgryzienia problem.,

Tak to wszystko wygląda pod powiększającym szkiełkiem naukowca. Warto jednak dla ścisłości dodać, że tylko niektóre stanowiska w kwestii podziału naszego narodowego „bochenka chleba" są tak wyraźnie zarysowane opiniami biorących udział we wspomnianym badaniu. Wewnątrz bowiem każdej grupy, a odnosi się to szczególnie do preferencji w podziale funduszu spożycia społecznego, nie widać tak oczywistych stanowisk, granice wyboru między uprzywilejowaniem rozwoju budownictwa np. szpitali czy ośrodków zdrowia, a powiedzmy wzbogaceniem naszego kraju w placówki służące turystyce, wypoczynkowi, są bardzo zatarte, przy czym znowu rzecz ciekawa — młodzi chętniej kierowaliby strumień pieniądza społecznego właśnie na rozmaite urządzenia rekreacyjne, w mniejszym już stopniu preferują budowę szpitali, żłobków i przedszkoli. Czyżby dawała tutaj znać o sobie swoista beztroska będąca ponoć przywilejem młodości?

Wystarczy chyba już tych przykładów. Zresztą użyłem ich tutaj tylko w charakterze „reprezentacji" dla przeprowadzenia dowodu jak trudna, złożona jest polityka społeczna, która chcąc godzić interesy nas wszystkich, musi pogodzić interesy najliczniejszych środowisk, musi równocześnie uwzględniać konkretną sytuację mniejszych środowisk, będących niekiedy w bardzo złożonej sytuacji życiowej.

I mam wrażenie, że co do tego jest już pełna klarowność. Natomiast wypada mi się jeszcze wytłumaczyć z tytułu niniejszego felietonu. No cóż, proszę go uważać jako nie tyle zabieg formalny, ile przejaw pewnej przewrotności. Chociaż... jeśli w ten sposób zachęciłem PT Czytelników do skonfrontowania indywidualnych odczuć, rezultatów zaprezentowanych tutaj badań z aktualną polityką w podziale narodowego bochenka chleba, to będę się tym czuł całkowicie usprawiedliwiony.

KRZYSZTOF POGORZELEC

KULA - POJAZD KOSMICZNY PRZYSZŁOŚCI

ERICH von DÄNIKEN

Wszystkie używane obecnie typy rakiet mają kształt cygara. Czy jest to absolutną koniecznością? Mamy, bez wątpienia, stałe dowody tego, że kształt cygara nie jest ani konieczny ani idealny w pozbawionej powietrza przestrzeni kosmicznej. Kiedy statek kosmiczny, który w odróżnieniu od rakiety wielostopniowej ma przynajmniej kształt stożka, leci w kierunku pobliskiego Księżyca, to musi nieprzerwanie obracać się wokół własnej osi. Jakież to jest skomplikowane i niebezpieczne! Wiemy ze wszystkich opisów podróży kosmicznych, że każda zmiana trasy lotu wymaga przeprowadzenia wysoce skomplikowanego manewru sterowniczego. Komputer statku musi w ułamku sekundy obliczać odchylenie od zaplanowanej trasy lotu i równie szybko wprawiać w ruch małe sterownicze silniczki odrzutowe dla poczynienia odpowiednich manewrów korygujących. Pojedyńczy minutowy błąd w sterowaniu pociągnąłby za sobą katastrofalne skutki, ponieważ statek posiada ograniczony zapas materiału napędowego, który wyczerpałby się bardzo szybko. Wtedy, odrzutowe silniki sterownicze nie mogłyby już wykonywać manewrów korygujących, statek nie byłby w stanie powrócić w atmosferę ziemską lecz szybowałby, niekontrolowany, do czasu spalenia się gdzieś w głębinach wszechświata.

Bez wątpienia, rakiety będące obecnie w użyciu sprawdziły się pod względem technicznym, ponieważ przy zastosowaniu współczesnych silników rakietowych, które są jeszcze stosunkowo słabe, tylko pojazdy o zaostrzonych końcach zmniejszających powierzchnię tarcia mogą przebić grubą warstwę atmosfery ziemskiej. Jednakże ostre iglice nie są idealne dla ruchu międzygwiezdnego.

Wyzwolenie energii napędowej o większej mocy jest kluczem, który otworzyłby drogę do produkcji nowych typów pojazdów kosmicznych. Czas, kiedy technika będzie miała do swej dyspozycji takie rodzaje energii, w które trudno obecnie uwierzyć nie jest tak bardzo odległy. Kiedy czas ten nadejdzie, możemy być świadkami użycia fotonowych silników napędowych umożliwiających osiąganie szybkości w granicach szybkości światła i zapewniających napęd przez czas prawie nieograniczony.

Nie bylibyśmy wtedy dłużej zmuszeni do oszczędzania, jak to musimy czynić dziś, na każdym kilogramie zabieranego ładunku, gdy na każdy funt, który statek kosmiczny bierze w podróż na Księżyc potrzeba dodatkowo 2 590 funtów paliwa. Z chwilą, gdy zniknie konieczność takiej oszczędności, będą budowane statki kosmiczne o zupełnie odmiennych kształtach.

Stare teksty oraz wykopaliska archeologiczne na całym świecie przekonały mnie, że pierwsze pojazdy kosmiczne, które przybyły na Ziemię wiele tysięcy lat temu miały kształt kulisty i jestem pewien, że pojazdy kosmiczne przyszłości będą kiedyś też kuliste.

Nie jestem budowniczym rakiet lecz uważam, że tych kilka refleksji, którymi pragnę się podzielić wydaje się być całkowicie przekonywającymi. Kula nie ma ani przodu ani tyłu, góry ani dołu, prawego ani lewego boku. W każdym położeniu i z każdego kierunku przedstawia sobą identyczny kształt swej powierzchni. Tak więc, kula jest idealnym kształtem dla przestrzeni kosmicznej, która również nie posiada ani góry ani dołu, przodu ani tyłu.

Udajmy się na przechadzkę po kosmicznym pojeździe kuli, który wydać nam się obecnie może tworem z dziedziny fantazji naukowej. Nie skąpmy jednak materiału dla naszej wyobraźni. Wyobraźmy sobie kulę o średnicy 17 000 stóp (ponad 5 100 metrów). Olbrzym ten stoi na resorowanych, wciąganych pajęczych nogach. Podobnie jak w liniowcach oceanicznych, wnętrze kuli podzielone jest na różnej wielkości pokłady. Wokół brzucha tej gigantycznej bestii — wzdłuż równika — biegnie masywny pierścień mieszczący dwadzieścia lub więcej silników napędowych, które mogą być obracane o 180 stopni — prosta sztuczka techniczna. Kiedy odliczanie dojdzie do zera, zaczną one wysyłać skoncentrowane, wzmocnione miliony razy, fale światła. Jeśli kosmiczny pojazd-kula ma wznieść się z powierzchni planety lub też z którejś z wyrzutni znajdujących się na orbicie, silniki napędowe wystrzeliwują snopy światła w dół, wprost na pas startowy, dając ogromną siłę ciągu. Gdy już kula znajdzie się poza polem grawitacyjnym rodzimej planety w drodze do określonej gwiazdy, silniki napędowe wokół jej równika będą uruchamiane jedynie od czasu do czasu dla korygowania trasy lotu. Nie istnieje ryzyko, że kula zejdzie z wyznaczonej trasy na tyle, aby mogło to stanowić niebezpieczeństwo dla załogi, bo może się ona przystosować do każdej nowej sytuacji. Poza tym stanie się coś, co będzie bardzo mile dla astronautów: kula zacznie sama wirować. W ten sposób we wszystkich pomieszczeniach zewnętrznych powstanie sztuczna grawitacja, która zmiejszy stan nieważkości na tyle, że zapanują warunki prawie takie jak na Ziemi. Jeśli leci się do gwiazd, to nawet wtedy podlega się prawom obowiązującym na starej Ziemi!

Jest ważne, aby zdawać sobie sprawę z tego, że w tym typie pojazdu polega sekret: jeśli konieczny jest zwrot w prawo, kula otrzyma lekkie pchnięcie od odrzutowego silnika sterującego po lewej stronie i vice versa.

Kuliste statki kosmiczne, które tysiące lat temu mogły przybywać z odległych galaktyk, będą jedynie drobnymi okruchami w nieskończoności wszechświata. Pędząc z szybkością zbliżoną do prędkości światła astronauci będą odczuwać ten pęd tylko jako miękkie, powolne szybowanie. Czas będzie się wydawał stać w miejscu w ich pojeździe.

Ale co się będzie dziać w bezczasowym czasie we wnętrzu kosmicznej kuli? Od momentu, gdy stacje kosmiczne tej wielkości zaczną rzeczywiście odbywać loty, na pokładzie przestrzegać się będzie zwykłego rozkładu dnia.

Roboty będą sprawdzać funkjonowanie silników i innych maszyn, komputery będą pilnowały trasy lotu, astronauci będą przeprowadzać badania naukowe w laboratoriach, obmyślać nowe, jeszcze śmielsze projekty, obserwować gwiazdy i rozmyślać o eksploatacji zasobów nieznanych planet. Podczas gdy kula przebywać będzie miliony mil na minutę, załodze dni będą zmieniać się w tygodnie, tygodnie w miesiące a miesiące w lata. A w specjalnych pojemnikach, w głębokim zamrożeniu zapasowa załoga będzie oczekiwać na biologiczne rozbudzenie, gdy kula zbliży się do celu.

Jednocześnie jednak, na niezliczonej ilości planet przeminą cywilizacje, wymrą całe pokolenia i narodzą się nowe, ponieważ czas będzie pędził zgodnie z prawami ziemskimi na naszej planecie i na innych gwiazdach.

Nie będę dalej rozwodził się nad tą wycieczką w krainę utopii. Pisarze fantastyczno-naukowi zbyt już często opisywali urojone statki kosmiczne przyszłości. Moje opowiadanie o statku w kształcie kuli ma jedynie na celu przygotować wyobraźnię czytelnika do zajęcia się zupełnie poważną sprawą. Przypuśćmy, że zbadamy najstarsze legendy o stworzeniu ludzi pod kątem naszej historyjki o pojeździe kosmicznym w kształcie kuli.

Uczyliśmy się w szkołach, że na początku były tylko niebo i ziemia i że ziemia była pusta i próżna. Jednakże z ciemności, jak nas uczono, zajaśniało światło i od tego światła przyszło słowo, które rozkazało, aby zaczęło się wszystko życie.

Wszystko, co dotyczy czasowego rozwoju tej genesis jest absolutnie logiczne. Podczas długiej kosmicznej podróży przez świat nie było, oczywiście, światła: przestrzeń wokół była atramentowo ciemną nocą. „Stała się światłość" dopiero po wylądowaniu pojazdu kosmicznego na planecie; wtedy nieznane istoty doświadczyły dnia i nocy, wtedy mogło zacząć się życie a inteligencja rozwinąć u celu ich podróży w odpowiedzi na słowo rozkazu.

We wszystkich prawie znanych legendach o stworzeniu, ta przedwiekowa prawda, że słowo przyszło od światła, powtarza się. Na wyspach Polinezji istniała bogata tradycja ustna na długo przed wylądowaniem tam pierwszego białego człowieka. Wybrany krąg kapłanów ściśle strzegł tego, aby ani jedno słowo ze starej filozoficznej i astronomicznej mądrości nie zostało zmienione. Jednakże cywilizacja zachodnia i misjonarze chrześcijańscy stłumili tę bogatą tradycję tubylczej ludności. W roku 1930, Bishop Museum w Honolulu, które szczyci się posiadaniem największej kolekcji polinezyjskiej na świecie, wysłało dwie ekspedycje na wyspy archipelagu. Ich celem było zabezpieczyć legendy i pieśni, które przetrwały wątpliwe dobrodziejstwo zachodniej kolonizacji. Wiele lat potem, szwedzki uczony Bengt Danielsson, który przebył Pacyfik na tratwie Kon-Tiki z Thorem Heyerdahlem, odwiedził wraz z żoną wyspy Mórz Południowych i spisał tradycje, które ciągle były żywe w świadomości wyspiarzy.

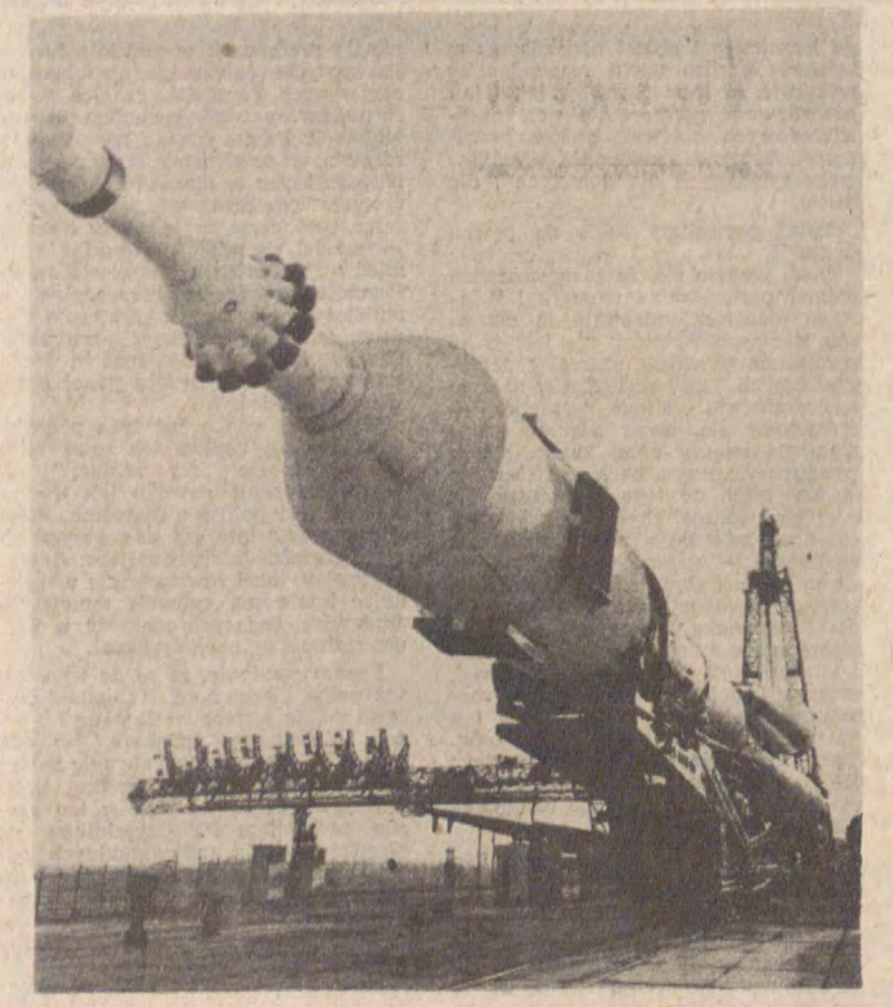

Fot. Archiwum

Na małej wyspie Raroia, w grupie wysp Tuamotu na Oceanie Spokojnym, 450 mil morskich na północny wschód od Tahiti Danielsson spotkał starego mędrca, który się nazywał Te-Yho-a-te-Pange. Danielsson opisuje jak ten kapłan opowiedział historię swego ludu głosem jednostajnym i monotonnym jak stara płyta gramofonowa. Jest to historia zdumiewająca:

„Na początku była tylko pusta przestrzeń, ani światło ani ciemność, ani ląd ani morze, ani słońce ani niebo. Wszystko było ogromną pustką i próżnią. Niewymowna liczba wieków przeminęła..."

Czy opis mógłby być bardziej ścisły? Czy musimy czekać, aby prymitywny człowiek, który nosi przepaskę na biodrach, żywi się orzechami kokosowymi i rybami, który nie posiada absolutnie żadnej wiedzy technicznej powiedział nam jak to naprawdę jest w przestrzeni kosmicznej?

Pozwólmy jednak Te-Yho-a-te-Pange mówić dalej:

„...Następnie pustka zaczęła się poruszać i zamieniła się w Po. Wszystko było w dalszym ciągu ciemne, bardzo ciemne, lecz potem samo Po zaczęło się obracać..."

Czy w tym momencie osiągnęliśmy już system słoneczny, czy weszliśmy w pole orbit planet? (Pustka zaczęła się poruszać.) Ciemność królowała dalej. Kula, zwana tu Po, stała się widoczna. Zaczyna ona obracać się.

„Nowe dziwne siły zaczęły działać. Noc została przeobrażona..."

Dużo mówiący opis. Działa teraz przyciąganie planety (nowe dziwne siły). Wchodzimy w atmosferę. Robi się jasno jak w dzień.

„...nowa materia była jak piasek, piasek stał się stałym gruntem, który wznosił się do góry. Na koniec Papa, matka ziemia, ukazała się rozrosła się we wszystkich kierunkach i stała się wielkim krajem..."

Ludzie znaleźli się tedy na terra firma, która rozciągała się daleko wokół. Ale zanim osiągnęli powierzchnię Ziemi, która „wznosiła się do góry" — złudzenie powstające wtedy, kiedy zbliżamy się do niej z wysoka — trzeba było przedostać się przez materię „jak piasek". Czy to jest jeden ze sposobów opisania potężnych sił tarcia działających na zewnętrzną powierzchnię statku kosmicznego na skutek istnienia płaszcza z atmosfery?

Te-Yho-a-te-Pange opowiada dalej:

„...były rośliny, zwierzęta i ryby w wodzie i rozmnażały się. Jedyną rzeczą, której było brak był człowiek. Wtedy Tangaloa stworzył Tiki, który był naszym najpierwszym przodkiem..."

Nigdy nie powinniśmy zapominać o tym micie stworzenia. Być może nadawałby się on do tego, aby go nauczać w szkołach.

„Popol Vuh" zawiera inny wspaniały opis. Książka ta, która jest jednym z „wielkich dokumentów pisanych zarania ludzkości" (Cordan) i jest w swej istocie księgą tajemną, była jedyną świętą księgą Indian Quiché z wielkiej rodziny Majów, zamieszkujących wokół jeziora Atitlan w Gwatemali w Ameryce Środkowej.

W ich szczegółowym micie stworzenia twierdzi się, że ludzie tylko częściowo pochodzą z naszej Ziemi, że „bogowie" stworzyli „pierwsze istoty obdarzone rozumem" ale zniszczyli wszystkie nieudane egzemplarze i po wykonaniu swych ziemskich zadań, wznieśli się ponownie do nieba, do miejsca, gdzie jest „serce nieba", mianowicie Dabavil, do tego, „który widzi w ciemności".

Czy to jest powodem, dla którego Indianie Quiche byli przesiąknięci myślą o bogach, którzy mieszkali w kamiennych kulach i którzy umieli wychodzić z kamienia? Czy kult gry w piłkę uprawiany w tym plemieniu, o którym to kulcie mówi „Popol Vuh", posiada swe korzenie w tym micie stworzenia? Gra w piłkę, jako rytuał kosmiczny i magiczny, jako symbol lotu do gwiazd?

Wśród mitów o stworzeniu, które podbudowują moją teorię, legenda Indian Chibcha (tzn. ludzi) jest prawdziwym klejnotem. Historyczną ojczyzną tego ludu, który Hiszpanie odkryli w roku 1538 jest Płaskowyż Kolumbijski.

Hiszpański kronikarz Pedro Simon opisuje mit Indian Chibcha w swych „Noticias historiales de las conquistasde de tierra firme en las Indias Occidentales":

„Była noc. Było jeszcze coś ze świata. Światło było zamknięte w wielkim „coś jak dom" i wyszło z tego. To „coś jak dom", to Chiminigagua i to skryło w sobie światło, ażeby wyszło. W blasku światła rzeczy zaczęły powstawać..."

Widać, że musiało być trudno tłumaczowi znaleźć jasny odpowiednik słów „coś jak dom". Jak się jednak szczęśliwie dla nas złożyło, że zostawił to pojęcie, które tak trudno zrozumieć i że nie zastąpił go jakimś wymyślonym synonimem. Gdyby tak uczynił, nie moglibyśmy prawidłowo zinterpretować znaczenia tej tradycji i pojąć jej pełnej wagi. Teraz jesteśmy jednak w stanie przymierzyć to „coś jak dom" do naszej obecnej wiedzy. Skoro Indianie Chibcha nigdy przedtem nie widzieli pojazdu kosmicznego, nie widzieli oczywiście jak go nazwać. Ochrzcili go więc słowami, które były im znane: coś jak dom wylądowało i wyszli z tego „bogowie".

Tradycja Inków w Peru mówi, że nawet przed stworzeniem świata istniał człowiek zwany Uiracocha (tzn. Viracocha, później bóg Quetzalcoatl),

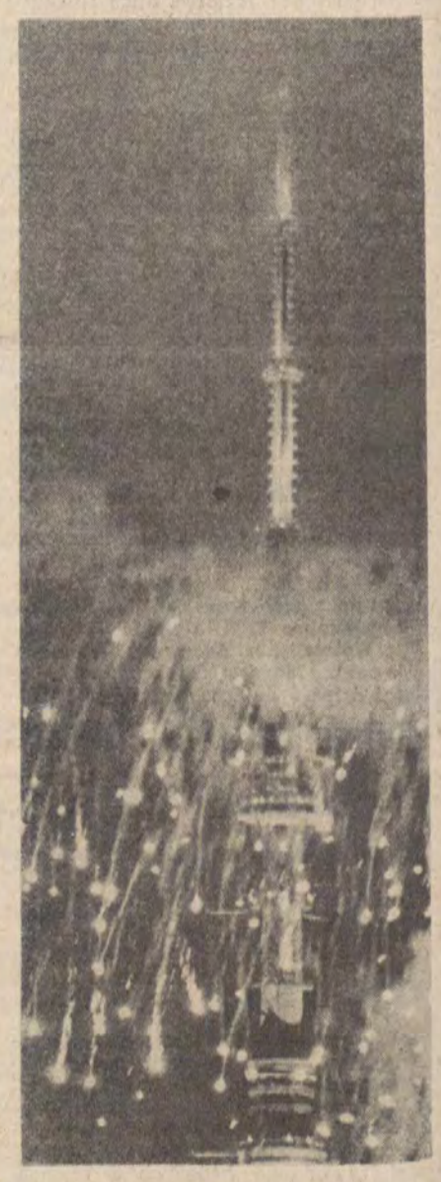

Fot. Archiwum

którego pełne nazwisko Uiracocha Tachayachachic znaczy „stwórca rzeczy ziemskich". Ten bóg był pierwotnie zarówno mężczyzną jak i kobietą. Osiedlił się w Tiahuanaco i dał początek rasie olbrzymów.

Czy istnieje może bezpośredni związek między monolitem w Tiahuanaco, wspaniałą Bramą Słońca a tą tradycyjną opowieścią o stworzeniu? I czy interpretujemy zbyt arbitralnie sagę o złotym jajku z kosmosu, którego pasażerowie rozpoczęli tworzenie ludzi, jeśli przyjmujemy ją tak jak ona jest za autentyczny opis statku kosmicznego z nieznanych gwiazd?

To złote czy też błyszczące jajko, które spadło z nieba jest prawdziwym motywem przewodnim w tradycyjnych opowieściach o stworzeniu na całym świecie.

Na Wyspie Wielkanocnej bogowie byli czczeni jako władcy przestrzeni kosmicznej. Wśród nich Makemake jest bogiem istot zamieszkujących powietrze. Jego symbolem jest jajko!

Opracował: B. KRAKOWIAN

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

Zbigniew Kosiński urodził się 13 kwietnia 1926 r. w Umieniu k. Kola. W czasie wojny był żołnierzem Armii Krajowej. Po wojnie skończył studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi, w której obecnie pracuje. Debiutował w prasie literackiej w 1957 r. Ma do tej pory w dorobku trzy tomiki poetyckie: „Port egzotyczny" (w Bibliotece Poetów, Łódź 1957; dalej — PE), „Mój anioł lewy" (też w Bibl. Poetów, 1961; dalej — MAL), oraz „Starszy o głowę" (Łódź 1968; dalej — SoG). Wiersze Kosińskiego drukowane były w kilku różnego typu antologiach i zbiorach, m.in. w „Konwencjach" (Rzecz poetycka, Łódź 1960) i „Z tej strony. Jednodniówka artystyczna grupy "Nowa Linia" i KL ZMS" (Łódź 1961).

Poezja Kosińskiego zaskakuje konsekwencją. A pamiętać należy, że wszyscy, którzy do tej pory wierszom jego słów kilka poświęcili, zwracali uwagę na trud lektury i zrozumienia, przesadnie ich zdaniem szyfrowy charakter utworów. Bywało zgoła tak (rec. M. Wyki w „Życiu literackim" z SoG), że rezygnowano z próby odczytania sensów przytaczając (trafnie dobrany) przykład kaskady metaforycznych sformułowań, budzących nazbyt już rozległe skojarzenia.

A jednak wrażenie konsekwencji nie bierze się ze stale obowiązującego schematu organizacji wypowiedzi, preferującego — dzięki umykaniu zasadom potocznego językowego komunikowania się — wieloznaczność odbioru. Wręcz odwrotnie — pozornie niekrępowana poetycka kreacja dotyczy stale tej samej wizji świata, o elementach zadziwiająco trwałych, więc skłaniających do wniosków jednoznacznych.

Zilustrujmy to drobnym, lecz wystarczająco wymownym przykładem. Oto dwa wiersze.

Piosenka Marszałka Armii Konnej

Moja delikatna natura
nie znosi zapachów
nie znosi widoków
nie znosi dźwięków
a z koniem jak to z koniem
różnie bywa (MAL)

Idę sobie jak koń
który widzi tylko drogę
i ciężkim kopytem
mocno wali w twardą powierzchnię

niech ci pod spodem także
słyszą
krok idącego konia (SoG)

Utwory te, pochodzące z różnego okresu, nie apelują do siebie nawzajem; każdy z nich jest osobno wystarczająco czytelny i oczywisty. Dopełnianie się wzajemne ich sensów to efekt tożsamej w każdym tomiku poety wizji kreowanego przez siebie świata (do obu cytowanych powyżej wierszy „trzeba" dołączyć trzeci o inc. „Droga mknie bez pomocy nóg kopyt i kół żegna i wita..." (SoG), a potem kolejno inne na zasadzie naukowego „porównaj" lub prościej: domino).

Świat wierszy Kosińskiego nie jest człowiekowi przychylny. Najistotniejszą dominantą jego krajobrazu jest pustynia, aktualną „pogodą" — upał. Tylko jako sarkazm zjawia się zwrot: „Bezludzie to (...) nie zawsze jest gniazdem suchego rozżarzonego piasku" (MAL). Obowiązuje na trwałe „przepych spiekoty" (MAL), przy czym owe źródła światła i ciepła, różnoznaczne w określonych, zmiennych kontekstach, zazwyczaj „wierne i nieobecne" (SoG), przegrywają z pokrewnym sobie, krótkotrwałym i niszczącym piorunem: „Błysk pioruna zagarnia światło wszystkich lamp) A ty ślepniesz słońce o wiecznym blasku" (SoG). Jakże tedy dramatycznym i bogatym w maksymalnie skondensowany sens jawi się stwierdzenie: „Pełno iskier w gęstej sieci upalnego dnia (...) (A powiedzieć można, że z katedry Notre Dame) zdjęto właśnie piorunochron)" (SoG).

Aktualny ludzki krajobraz, zdominowany przez pustynię i upał, określony jest cały szereg dalszych paradygmatów. Z długiego ich rejestru wybierzmy jeden, ściśle wiążący się z poprzednim. Egzystencja spokojna, uładzona i pogodzona to łąka, a przede wszystkim często pojawiająca się u Kosińskiego trawa. „Liczę /rzęsy traw... / Na małej łące / perspektywa nieśmiertelności" (PE). Próba „wjechania na moim ośle / do nieba" kończy się rychłą rezygnacją: „Bowiem kiedy skierowaliśmy wzrok w / górę, nie dostrzegliśmy na naszej drodze ani jednego źdźbła trawy" (MAL). W „Starszym o głowę" „szansa" trawy została odrzucona: „Jesteś mi obojętna / Trawo ze swoją kokieterią łagodności / i przeróżnych aluzjach swojej egzystencji".

Niemożliwość wyboru dla ludzkiej rodziny lokalizacji bezpiecznej, pozbawionej napięć między człowiekiem a jego otoczeniem nie jest esencjalną specyfiką ludzkiego bytu; wynika ona, co wyraźnie sugerują wszystkie niemal utwory, z określonej sytuacji historycznej. Podobnie przypominamy wielokrotnie zwierzęcy status homo sapiens nie jest w wierszach Kosińskiego warunkowany biologicznie, określa go dane, obecne zachowanie człowieka. Wyjściem ze sfery anonimowości była ewolucja — ta zmusza do nauki polegającej na przyswojeniu sobie zachowań zwierzęcych, /„A kto opuści stan /anonim i stanie się/ owcą i tygrysem prawdziwym", „Jak małpa kiedy..." — SoG/. To nie powrót do źródeł, to dalszy etap rozwoju, konsekwencja trwania w rozbracie z anonimowością.

„Między hieną wyjącą a polującym tygrysem" włóczą się przede wszystkim psy i koty (zbanalizowany to element poetyckiej wizji) — skłócone i walczące z sobą („Bezdomna fauna" MAL). „O czym szczekają psy? (Kot ten owszem miauczy") — zastanawia się przewrotnie autor, szybko dając sobie odpowiedź: „Kiedy dreszcz rozpaczy wstrząsa drzewami one wszystkie odżegnują się od wszelkiego szczekania" (SoG).

Wśród antymonii obecnego stanu ludzkiej rzeczywistości (o bardziej złożonej konstrukcji, niżby to wynikało ze zwrócenia uwagi na kilka elementów) szansą wydaje się być stan anonimowości (patrz wyżej) oraz przyziemności rozumianej jako trzymanie się ziemi („Powiem że człowiek który swoje mięśnie unosi /jest już na poły dziobem kata", SoG). Także aktywność poetycka jest podejrzana — posiada znamiona handlu wartościami („Kramikarz", PE) lub przymierzania się do „sklepiku różowych przypowieści" („Dialektyka przemian", tamże). Wybór poety oscyluje więc między: „najdostępniejszym z głosów wybijam czas, nie nazywając / imienia godziny" a „pragnę słuchać" (MAL). Stąd jako kres możliwości pada: „w labiryncie uszu jestem samym sobą".

Trwałość motywacji i stały kształt poetyckiej wizji świata musi budzić szacunek i uznanie. Jej sens rodzić może zarówno aprobatę, jak i sprzeciw.

„Na prawo stanie-ć jeden anioł złoty,
Na lewo jeden z krwi i zawieruchy..."
(„Król-Duch", p. I)

„Anioł ognisty — m ó j a n i o ł l e w y" był tylko jednym z duchów Słowackiego.

WIESŁAW PUSZ

KSIĄŻKA

„LALKA" PÓŁ WIEKU PÓŹNIEJ

W Wydawnictwie Łódzkim (1974 r.) wyszła nowa powieść Wandy Karczewskiej „Fuga z tematem miłosnym". Pisana przez szmat życia pisarki, bo od lat 1938/39 do 1973/74, a więc niejako „po kawałku", rozrastała się, zmieniały się warianty jej poszczególnych części, aż przybrała swój ostateczny kształt, jaki właśnie otrzymaliśmy do rąk.

Dla mnie jednym z najciekawszych eksperymentów pisarskich są właśnie takie „książki życia", naszkicowane, zaczęte w młodości pisarza, porzucone z konieczności, czy z przypadku, po latach odnalezione w papierzyskach, odczytane, uderzające świeżością, celnością spojrzenia, chociaż świat i ludzi oglądały bardzo młode oczy.

I — zdziwienie. Zdziwienie, jakie nas ogarnia, jak wiele rozumieliśmy tak bardzo wcześnie. I — kolejna myśl „gdybym teraz, ze swoimi umiejętnościami warsztatowymi, z biegłością rzemiosła przeredagował (-a) tę książkę, może coś by z niej wyszło ciekawego, interesującego, bo kojarzącego właśnie twórczą młodość z krytycyzmem dojrzałości".

Chyba tak właśnie było z Fugą. Dlatego jest ta książka bardziej „czytelna" od innych książek Wandy Karczewskiej. Dlatego obok prostoty jest w niej także wiedza.

Jest to też najprawdziwszy romans, powieść miłosna, nawet dramat miłosny, gatunek prozy, którego nam brakuje. Byłby to też wielki romans, gdyby nie ograniczenie środowiskowe, klasowe głównej bohaterki powieści — Teresy. Wielka bowiem miłość musi wychodzić poza wszelkie bariery, obalać wszystkie przeszkody, a nawet przechodzić mimo nich, wcale ich nie dostrzegając. Wielka miłość w tradycji literackiej — i chyba słusznie — żywi się sama sobą.

Z tego też powodu klucza do książki Wandy Karczewskiej szukałabym w jej głównych bohaterach, w ich niemocy, pochodzącej z urodzenia, wykształcenia, kolei życia. Zapisałabym też na konto pisarskie fakt, że klucza do Fugi można w ogóle szukać w bohaterach książki. Oznacza to bowiem, że ludzie są wyraziści, pełnokrwiści. Zbyt często teraz bohaterowie literaccy cierpią na anemię uczuć, postaw, charakterów, a nawet swoich zewnętrznych postaci.

Jest więc bohaterka powieści, Teresa „prawdziwą kobietą", jak się zwykło mówić o kobietach świadomych przede wszystkim swojej płci i pierwszoplanowej roli w życiu — kochanki, a w konsekwencji, matki. W rozumieniu Teresy, miłość prowadzi do małżeństwa, do wspólnego życia i domu z wybranym mężczyzną, ale jest ona przy tym tak bardzo witalna, że wizerunek kochanki przesłania w Teresie portret przyszłej żony. Teresa też, zgodnie ze swoimi psychologicznymi rysami, zostaje na końcu powieści matką, omijając „etap żony", mimo wszelkich zaklęć, że dziecku potrzebnych jest dwoje rodziców.

Jest więc bohaterka powieści Karczewskiej niekonsekwentna w słowach, za to bardzo konsekwentna w czynach, jako skutkach dyktatu jej bujnej natury. Dziecko, ukryte w niej, zaczynające swoje tajemne życie w matce na samym końcu powieści, jest jedynym głosem przemawiającym za Teresą, jej powieściowym obrońcą. Ono i spontaniczność jej uczuć jako kochanki, zupełny brak wyrachowania, kalkulacji w stosunkach z wybranymi mężczyznami.

Ale — Teresa jest bogata, należy do uprzywilejowanej warstwy społecznej, nie musi rozliczać się z uczuć. Tak samo prosto i spontanicznie ofiarowuje się Adamowi Kostrzewie, plebejuszowi z galonami oficerskimi marynarki handlowej, jak swemu sfrustrowanemu z powodu „trudnego dzieciństwa", dwa lata od niej młodszemu powinowatemu, należącemu do tej samej sfery, co ona. Karczewska w obu tych miłościach z intuicją pisarza wychwytuje i szkicuje, analizuje ich prawidłowości.

W społeczeństwie lat trzydziestych miłość dziewczyny ze sfery wielkiej burżuazji musiała zniszczyć ambitnego plebejusza. Dla kuzyna stanie się ulotnym, pięknym, filozoficzno-poetyckim epizodem życia, zgodnym z lekturami, młodzieńczymi przemyśleniami i marzeniami.

Być może, młodzi spotkają się jeszcze. Być może, Henryk będzie ojcem dla swego dziecka, mężem dla Teresy. Może — nie. Wanda Karczewska zostawia ten temat, ten wątek miłosny otwarty. Może to zrobić tym łatwiej, że idzie wojna. Strzały na nadmorskich plażach towarzyszą pierwszemu zbliżeniu Teresy i Henryka. To tygodnie, albo godziny dzielą bohaterów książki od 1 września 1939 roku. W tej sytuacji wszystko może, musi ulec zawieszeniu. Oprócz życia, losu Adama Kostrzewy, syna ładowacza portowego, który wyciągnął rękę najpierw po galony oficerskie, a później po Teresę.

Ojczym Teresy zniszczy go nie tylko moralnie, ale fizycznie. Pozbawi go nie tylko ludzkiej godności, ale honoru, uczyni z niego zabójcę. W tym procesie unicestwiania człowieka obcego klasowo weźmie udział cała rodzina Güntherów, nie tylko człowiek, który zastępuje Teresie ojca, skrycie kochając ją jako kobietę.

Adam Kostrzewa po prostu znika w jakimś porcie. Znika dosłownie. Nie jest ważne, czy będzie dalej żył, czy nie. Może odnajdzie się kiedyś pod innym nazwiskiem, już inny człowiek.

Adama Kostrzewę, chłopca z małego miasteczka pod Gdynią, marzącego o mostku kapitańskim Güntherowie zatłuką. Cóż z tego, że tylko w przenośni?

Teresa Günther na końcu powieści okaże się również prawą córką swego rodu. Ojczym Teresy w godzinie śmierci wyznaje lekarzowi w jaki sposób zniszczył miłość Adama i pasierbicy, za pomocą jakiej intrygi wyrzucił Kostrzewę z marynarki handlowej. Teresa dowiaduje się prawdy i... nie chce jej poznawać. Ma nadzieję, że Kostrzewa nie żyje. „Jest jeszcze panno Günther, coś, co nazywa się pośmiertną rehabilitacją". Te słowa wypowiada lekarz. Teresa Günther jest przestraszona t y l k o perspektywą nowego procesu i nowego wyroku, zniesławieniem nazwiska Günter. Fakt, że zostało bezpowrotnie zniesławione nazwisko Kostrzewów nawet nie dotyka powierzchni jej świadomości.

Teresa myśli o dziecku, o nadciągającej wojnie, o konieczności likwidacji domu na Wybrzeżu i przeniesieniu się do Wraszawy. Być może, kiedyś, wróci Henryk, ojciec dziecka. Reszta jest przeszłością. Niemiłą, trochę smrodliwą, najlepiej zasunąć na nią kurtynę milczenia.

W ten sposób Wanda Karczewska stworzyła postać „Lalki" ze sfery wielkiej burżuazji. Ona jest mniej drapieżna niż panna Izabella Łęcka, mniej zimna i wyrachowana, ale Teresa Günther p o s i a d a pieniądze, panna Łęcka akurat je traci w czasie powieściowym. Jedna i druga unicestwiają mężczyznę, którego zdaje im się, że kochają. Jest to jednak tylko słabość przyciągana przez siłę. Nicość pragnąca się pożywić bogactwem wewnętrznym ludzi zmuszanych do rozwijania swej osobowości w najtrudniejszej walce — przezwyciężania degradacji osobistej i społecznej.

Historia stara, jak świat i... całkiem nowa. Na tym polega siła literatury, władza, jaką rozporządza talent.

Jest w tej książce wiele ubocznych wątków romansowych i fabularnych. Jest dużo postaci ludzkich żyjących uczuciami i dla uczuć, przeważnie — niestety — egoistycznych i negatywnych. W ten sposób również Wanda Karczewska daje portret klasy i ten najważniejszy — indywiduum ludzkiego, wyhodowanego na egoizmie, w imię egoizmu niszczącego innych nie mniej egoistycznych. W tej książce ścierają się ludzkie namiętności, wielkie, ponieważ mające na uwadze zawsze i przede wszystkim własne „ja". W tym kontekście psychologicznym Adam Kostrzewa, jak w „Lalce" Wokulski, stanowią rękojmię człowieczeństwa dla czytelnika. Piękni jednak i dobrzy, mądrzy i silni, ale samotni — muszą ginąć.

BARBARA NAWROCKA-DOŃSKA

FILM

WYRAŹNIE POWIEDZIANE

Poprzedni film Briana G. Huttona „Tylko dla orłów" w ciągu roku, jak podają statystyki, obejrzały w Polsce trzy miliony ludzi. Sądzę, że „ZŁOTO DLA ZUCHWAŁYCH" cieszyć się będzie jeszcze większym powodzeniem. Wypełniona sala kina „Włókniarz" i żywiołowe reakcje publiczności jeszcze raz dowodzą, że najlepszą reklamą dla filmu jest reklama ustna.

„Złotu dla zuchwałych" zbędne są recenzje, afisze i zwiastuny, tym bardziej że informacje prasowe donoszą, iż film ten opatrzony jest literkami b/o, co, jak wiadomo, znaczy, iż pokazywany jest widzom bez ograniczenia wieku. Ta decyzja wysokiej komisji o sprawach tych decydującej, budzi jednakże niejakie wątpliwości. Osobiście nie uważam, iż film Huttona jest „moralnie obojętny". „Złoto dla zuchwałych" wymaga swoistego dystansu wobec zdarzeń i postaci i wtedy pozostaje zabawą znakomitą. Młodziutki widz dystansu tego nie znajdzie, wtedy przeżywać będzie zbyt serio wyczyny grupy wojennych gangstero-kowbojów, opętanych chęcią zdobycia złota.

„Złoto dla zuchwałych" jest skądinąd ciekawym przykładem tego, jak daleko w poszukiwaniu atrakcyjności tematu dojść może tzw. film wojenno-przygodowy. W porównaniu z nim filmy takie, jak „Działa Nawarrony", a nawet „Tylko dla orłów" pozostają umoralniającymi opowieściami o granicach ludzkiej odwagi, gdy określa ją szczytny cel walki z wrogiem. A przecież film „Tylko dla orłów" już budził wątpliwości tzw. natury moralnej. Sprawa ta zresztą stała się swego czasu przedmiotem publicznej wymiany sprzecznych opinii, pomiędzy mym redakcyjnym kolegą, Jerzym Wilmańskim a mną. Być może i wobec „Złota dla zuchwałych" kobiecy i męski punkt widzenia może być nieco różny. Zastrzegam jednak, by uniknąć nieporozumień, że akceptuję „Złoto dla zuchwałych", ową cyniczną opowieść o złotym cielcu, lecz jedynie jako zabawę dla dorosłych. Tym bardziej że lubię typ gry, jaką autorzy tego filmu prowadzą z widzem, a której finałem jest napis wieńczący dzieło, skierowany, jak sądzę, tyle samo do dowódców grupy śmiałków, co i do nas samych. I rzeczywiście, co tu wybrzydzać. Zabawa jest zabawą, z jednym tylko zastrzeżeniem, iż nie we wszystkich powinny uczestniczyć dzieci.

Tak więc przyznać trzeba, że realizacja tej komediowej wojennej przygody, ocierającej się o bufonadę, posiada wiele cech przedniej rozrywki. I tak, komplementy po kolei rozdać by należało. Zacząć wypada od pirotechnika. O nim to reżyser filmu, pan Hutton, powiada: „Udało mi się pozyskać do współpracy jednego z najwspanialszych pirotechników świata Karla „Bum-Bum" Baumgarthera... Tym razem Karl przeszedł samego siebie". W istocie, ni słowa w stwierdzeniu tym przesady. Takiego pirotechnicznego widowiska kino chyba jeszcze nie miało. Ktoś inny powiedział, że jest to film z najgłośniejszą ścieżką dźwiękową, jaka dane było mu słyszeć — i to też prawda.

We wspomnianych błyskach i wybuchach biegnie wielka wojenna wyprawa gangsterska, mająca na celu rabunek niemieckiego złota, wartości szesnastu milionów dolarów, które wcale nie ma zasilić kas armii amerykańskiej, lecz stać się własnością uczestników szaleńczej eskapady, z pełną premedytacją eliminujących wszystkich zbędnych pomagierów. Skład osobowy grupy śmiałków jest iście gangsterski. I tu pora na kolejny komplement, tym razem wobec aktorów, znakomicie wcielających się w przeróżne typy łajdaków. Wśród aktorów królują: Donald Sutherland w roli hippiesa lat czterdziestych, Telly Savalas jako Duży Joe. Są to zresztą jedyne sympatyczne postacie. Clint Eastwood, grający pomysłodawcę i przywódcę wyprawy, potwierdza swą opinię aktora, specjalizującego się w rolach zimnych i cynicznych morderców. Jest przerażającym automatem do zabijania. Dodajmy do tego specjalność amerykańskiego kina, czyli doborową stawkę aktorów drugiego planu, na czele z wykonawcą roli zidiociałego generała, a będziemy mieć rodzaj zabawy wynikający z samego aktorstwa.

O sensacyjności tej opowieści przekonywać nikogo nie trzeba. Warto tu jednak podkreślić dwie szczególne jej cechy: znakomitą karykaturalność obrazu amerykańskiej armii i jej przywódców, ta umiejętność śmiechu godna jest pozazdroszczenia.

Drugim powodem zazdrości pozostanie oczywiście sama sprawność narracji i inscenizacji oraz ogromna i podkreślona autoświadomość stosowanych filmowych konwencji, której najlepszym przykładem jest bezbłędnie na westernowo, wystylizowana scena, gdy trzej żołnierze — rewolwerowcy idą naprzeciw niemieckiemu „Tygrysowi". Tak więc w „Złocie dla zuchwałych" spożytkowano wszystko, co w walorach rozrywkowego kina decydować może, że kryje się za tym głęboki cynizm, to już inna sprawa. Prawdą jest jednak to, że jest to cynizm nieskrywany — chcecie, to macie. W finale filmu powiedziano to expressis verbis.

EWA NURCZYŃSKA

REPORTAŻ

Fot. Włodzimierz Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

skim gruncie przychylnym i żyznym też wielce dla takich to poczynań. „Ojciec Chrzestny" wielką robił furorę i „Kleopatrę" usunął w daleki cień, można by rzec, iż wepchnął w mrok kompletnego zapomnienia. Bo o „Kleopatrze" nikt słowem nie wspomni w przesławnej bełchatowskiej „Jubilatce", w której kieliszki dźwięczą rozgłośnie do późnych godzin wieczornych. A „Ojciec Chrzestny" wciąż wywołuje przy stolikach spory, kłótnie i dyskusje, bo jakże to, Ameryka, Ameryka... a takie się tam dzieją rzeczy? Doprawdy, skóra cierpnie...

Masz tobie, kasjerka kina „Pokój" wejrzała na mnie z nieukrywanym zdziwieniem.

— Panie, to takie gadanie i nic więcej. Proszę spojrzeć na ten wykaz, na pierwszym miejscu pod względem frekwencji i tak dalej, jest nasz polski film „W pustyni i w puszczy".

Mało nie przysiadłem z wrażenia. Kto by pomyślał, „Kleopatra" wysiadła i nawet mafijny „Ojciec Chrzestny" nie wytrzymał naszej rodzimej konkurencji.

— Proszę spojrzeć — zachęcała miła kasjereczka. — „W pustyni i w puszczy" szło 18 dni, obejrzało go 16 734 osoby i przyniosło nam 88 000 złotych czystego zysku.

Opuściłem kino „Pokój", które jest przybudówką do strażackiej remizy, w stanie lekkiego oszołomienia. Prawdopodobnie widzowie wiedzą lepiej i nikt im niczego nie wmówi. Bo jakże inaczej wytłumaczyć fakt zdumiewający, że choć Bełchatów zamieszkuje 11 000 obywateli łącznie z noworodkiem co przyszedł na świat w noc akurat sylwestrową, to jednak „W pustyni i w puszczy" obejrzało przeszło 16 000 widzów. Widocznie GS puściły w ruch „nyski" nie „nyski" i zaczęły dowozić do kina „Pokój" spragnionych filmowych wrażeń wieśniaków Łękawy, Łękińska, Łękawskiej Wólki i z tych innych połaci, gdzie ludzkie osiedla rozrzucone są niezmiernie rzadko. Dalej obywatele, naprzód, bo droga daleka, wyboista, ziąb duży i wichura porykuje, ale co to za film, co za film obywatele...

Czyżby więc filmy na wieś nie docierały, choć ludowość filmowej właśnie sztuki jest czymś dawno już dowiedzionym? Skądże, nie jest tak źle. Stałe kino ma Szczerców i Drużbice, a do całej reszty 150 sołectw dociera „objazdówka" zatem kino na kółkach, które trafia wszędzie, gdzie strażacy chlubią się własną remizą, gdzie jest szkolna świetlica lub inna jakaś podgrzewana zimą salka. Pytałem gospodarzy z Osin, Kleszczowa, ze Stawek i Lubca, jakie też filmy najchętniej oglądają, gdy do ich wioski zawita „objazdówka" Jakie? Ci starsi wiekiem odpowiadali, że najlepsze są filmy wojenne i partyzanckie i takie wzięte wprost z życia, gdzie się mówi o łapówkach, klikach, kumotrach i karierowiczach jak jest i bez zawracania głowy, bo z bajerem to na Grójec, proszę pana...

Ci młodzi jednomyślnie omalże orzekli, nie ma to jak westerny i kryminały, to się dopiero ogląda, bo coś się na tych filmach dzieje i człowiek ani przez moment się nie nudzi, choć z góry się wie, że szeryf i tak będzie górą, bo sprawiedliwości musi się stać zadość.

Największą w gminach potęgą kulturalną są strażacy. Dziwne to i niezrozumiałe, bo wydawać by się mogło, że chłopcy z wężami w ręku są od gaszenia raczej pożarów Wyszło zaś na to, że organizują zabawy, loterie, kiermasze ludowe, huczne sobotnie potańcówki i spotkania z pisarzami co to mówią przeważnie o sobie samym i o tym czego to piórem już dokonali. Strażacy są za pan brat z filmowcami, a z aktorami już dawno po kielichu i po „bruderszafcie". Strażak w jednym ręku dzierży strażacką sikawkę w drugiej klucz trzyma do sołeckiej i gminnej kultury. On jest orędownikiem, kagańcem, co szerzy, pobudza i dostarcza nieprzemijających przeżyć artystycznych, działających na duszę niczym orzeźwiający prysznic w lipcową spiekotę na ciało.

Klucz jest najważniejszy. Albo strażak otworzy remizę strażacką i powie, proszę wejść w gościnne nasze progi, czym chata bogata, albo powie — przepraszam, ale nikt tego ze mną nie uzgadniał, a w ogóle zupełnie mi ten występ nie odpowiada, bo łódzka strym operatorem w ogrzewanej szoferce, lecz... telewizja w tym łódzkim wiżowcu. Niech tylko idzie jakaś transmisja sportowa z futbolowego meczu, a Łękawa się wyludnia i Osiny też pogrążają się w ciszy i spokoju. Wielki szum dochodzi natomiast z klubo-kawiarni „Ruchu", który, co tu dużo mówić, sporo zrobił ruchu na polu upowszechniania po wsiach zwyczaju picia czarnej kawy z dymiącego parą ekspresu „made in Hungary".

Gdy telewizja nadaje transmisje meczu Polska-Argentyna, wówczas młodzi chcą być sami i we własnym jedynie gronie. Więc walą jak w dym do klubo-kawiarni. Bo wtedy inaczej mecz się odbiera. Wtedy to już kibic szturcha łokciem kibica, a wszyscy naraz mogą ryknąć z nagła i ogłuszająco w momencie, gdy Lato zmylił pogodnie i nie zważając na interwencję dwóch rosłych obrońców strzelił zwycięskiego gola. To jest dopiero życie. Jak się grzmotnie pięścią w stół z radości, kiedy Tomaszewski szybuje w jednej ze swych górnych parad wysoko nad ziemią, to mało szklanki nie podskoczą do samego sufitu. Nastrój jest potrzebny, proszę państwa, a taki nastrój wytworzyć może tylko grono wytrawnych kibiców i nieprzeciętnych znawców piłkarskiego kunsztu, w tym wypadku sołeckiego szczebla.

Można kupić dobry telewizor, ale nie kupi się dobrego programu. Nikogo się przecież nie zmusi, by pokochał nudę. Gdy jednak wybija ta minuta i rozlega się sygnał dziennika telewizyjnego wówczas cisza się robi w klubo-kawiarni jakby kto zasiał makiem. Tu żadnych socjologicznych sondaży nie trzeba. Sprawa jest jasna jak kryształ. Obok sportowych sprawozdań, filmów przygodowych, w ogóle takich gdzie coś się dzieje, największym uznaniem wiejskiego odbiorcy cieszy się dziennik. To jest to okienko, przez które wieś zagląda w ten szeroki już świat i ma wrażenie, że od wielkich międzynarodowych wydarzeń poodcinana nie jest.

W ogóle niezmiernie wciąż mało zdajemy sobie sprawę jak szerokim frontem wdarło się na wieś zjawisko, które nazwać by można „telewizyjną kulturą". Oddziaływanie telewizji na sposób bycia i życia wiejskich społeczności jest już ogromne i wciąż się potęguje.

W samym Bełchatowie zainteresowanie kulturą i jej sprawami jest już bardziej zróżnicowane. Nieustannie wzrasta czytelnictwo poważnych czasopism. Samej „Polityki" rozchodzi się z ulicznych kiosków każdego tygodnia 165 egzemplarzy, „Kultury" — 82, „Literatury" — 31 i „Odgłosów" — 65. Co z literaturą? Co czytają bełchatowianie w zaciszu domowych pieleszy, jakie książki nabywają w księgarniach, jakie wypożyczają z miejskiej i powiatowej biblioteki? Już do tego przywykliśmy, że w tak zwanym dalekim i głębokim terenie wzięciem największym i poczytnością najszerszą cieszy się fenomenalny Kraszewski.

Czy naprawdę? Wcale nie. Kraszewski zleciał na czytelniczej drabinie jak z procy, daleko w dół. Nie zajmuje nawet tych środkowych szczebli. Na czoło wyszedł Żukrowski z „Kamiennymi tablicami". Drugie miejsce okupuje „Małżeństwo doskonałe" Van der Veldego, trzecie „Trędowata" pani Mniszek. W „Trędowatej" zaczytują się dorastające panienki, w „Małżeństwie doskonałym" panny dorosłe, zdrowe i być może nadmiernie wybujałe, w „Kamiennych tablicach" gustuje to starsze raczej pokolenie. Tak to w Bełchatowie wygląda, że za „Małżeństwo doskonałe" płaci się na czarnym rynku po 300 złotych. Na tyle wyceniono „ars amandi", więc ową sztukę intymną, której uprawianie wymaga, było nie było, sporego przygotowania w zakresie gimnastyki przyrządowej. Rzecz to ciekawa, dowodzi, że książka stała się takim samym towarem jak każdy inny. Jej cenę wyznaczają w wolnej sprzedaży odwieczne prawa popytu i podaży.

Co zaś do wiejskich zespołów, do owych grup śpiewaczych i tanecznych, co nic tylko zawodzą o „lelijach", nic tylko takie wybijają hołubce, że drzazgi lecą z deski, to lepiej już włóżmy to między bajki. Takich zespołów nie ma. Ani jednego nie ma od Zelowa przez Kleszczów i Kamieńsk do samego Radomska. Jest jeden... ale w Bełchatowie, hodowany dla celów specjalnych. Bo jak akademia, jak rocznica, jak goście na sali, to któż by odtańczył oberka, mazurka i kujawiaczka na dodatek ku patriotycznemu zbudowaniu widowni? A wypada. Bo jakiż by to był powiat, gdyby nie miał śpiewaków i muzykantów, ludowych oczywiście grajków mieszkających... w powiatowym mieście? Wieś tańczy i śpiewa, a juści, ale na antenie Polskiego Radia... Wieś śpiewa owszem, ale gdy do Kleszczowa zawita pewnego dnia „Wesoły Autobus" z radiowcem u steru i zawodowymi aktorami na tylnych siedzeniach. Jak zaś bardzo wieś spragniona jest rozrywki i rozweselenia mógłby niejedno opowiedzieć Józef Mozga, kierowca autobusu, który na wsi wyrósł i nadal duszą i sercem tej wsi się trzyma.

Na podbełchatowskie gminy spłynie w tym roku prawie 3 miliardy złotych. Budować się będzie drogi, linię kolejową i te inne rzeczy związane z zagłębiem paliwowo-energetycznym. Bardzo by było dobrze i miło, bardzo by też na duchu podniosło, gdyby choć dwa procenty z tych miliardów poszły na budowę autentycznych kin wiejskich i autentycznych też domów kultury. Czy pójdą...?

JAN BĄBIŃSKI

NIŻEJ POWIATOWEGO SZCZEBLA

„Estrada" już tu była i my teraz myślimy o warszawskiej. To strażacy działają twórczo i z wielką ochotą przy dźwiękach trąb strażackich na tym kulturalnym polu, na oświatowej niwie i społecznym też gruncie. Im się należy berło i korona. Dla nich te największe brawa. Bo co do orderów to spadają raczej na pierś działaczy.

Więc prezydialny stół uchwalił, że czas wielki i godzina to już ostatnia, by uruchomić Gminne Ośrodki Kultury. W ogóle inicjatywy są potrzebne, projekty i nowości, by można te wciągać do protokołu i rozesłać po świecie jako dowód niezbity prężności ducha, dynamiki w działaniu, ruchliwości umysłowej, niespożytej przedsiębiorczości i niezłomności też charakteru etatowców na fotelach. Projekt przeszedł, owszem, dwa GOK, tak to się w skrócie nazywa, mają być za dwa lata puszczone w ruch i w obieg w Kleszczowie i w Klukach. Dobre i to. Tylko że sołectw w powiecie jest 150, więc strażacy mrużą oczy i śmiejąc się z cicha w pęk wskazują palcem na remizy. Co tam GOK, SOK są lepsze, a te Sołeckie Ośrodki Kultury to już mieszczą się w naszych remizach i długo jeszcze z remizy nie wyjdą, bo jak tak dalej pójdzie to dopiero w następnym stuleciu.

Mają chyba rację.

Bo nim GOK sforsują wszystkie przeszkody na „via dolorosa" tej finansowej i wykonawczej natury, to kominy elektrowni na „Rogowcu" przestaną już dymić.

Jakimże by wiało smętkiem i smutkiem z podbełchatowskich wioszczyn, jaką ponurością powszechną, gdyby nie oni, strażacy w błyszczących hełmach na głowie. Ale i strażacy zaczynają coś kręcić głową. Im to wyraźnie nie w smak. Zwietrzyli groźnego konkurenta. Nie, to nie western na „czterech kółkach" to nie „objazdówka" z by-

Fot. Włodzimierz Parys

LISTY

WARTO POCHWALIĆ

Efektownym i interesującym przykładem obywatelskiej postawy społecznej jest wystawienie przed blokiem przy ulicy Żubardzkiej nr. 11, na Bałutach autentycznego samolotu myśliwskiego, autorem tego niecodziennego pomysłu jest p. Henryk Altof, który własnym staraniem i wysiłkiem wystawił samolot wyprodukowany w PZL, o wdzięcznym symbolu SP—CNP.

Blok taki, jak Żubardzka 11, jest chlubnym wyjątkiem wśród osiedli mieszkaniowych XXX-lecia. Przeważnie ogródki jordanowskie usytuowane w pobliżu bloków, wyposażone są jedynie w piaskownice i kilka ławek. Do nielicznych wyjątków należą bloki posiadające huśtawki, karuzele, asfaltowe placyki, po których mogłyby jeździć dzieci na swoich rowerkach i wrotkach. Nie można zaprzeczyć, iż bloki mają dużo zieleni, teren jest przeważnie uporządkowany, lokatorzy dbają o czystość swoich posesji, ale brakuje tam sprzętu o charakterze sportowo-rozrywkowym. Dlatego nie wszystkie dzieci w blokach mogą z dumą powiedzieć w szkole — „...a u nas przed blokiem stoi samolot".

Z poważaniem

H. T.

A „ESPLANADY" NIE MA

18 października 1973 roku, „Express Ilustrowany" zamieścił artykuł zatytułowany — „Decyzja już zapadła! „Esplanada" — ponownie kawiarnią z dawnym secesyjnym wnętrzem." Z artykułu mogliśmy się dowiedzieć co następuje: „W tych dniach zapadła na wniosek Łódzkiego Przedsiębiorstwa Gastronomicznego — ostateczna decyzja: lokal mieszczący się w budynku przy ulicy Piotrkowskiej 100, powróci do swej dawnej, pierwotnej funkcji, tzn. zostanie zamieniony w kawiarnię. Co więcej: będzie odrestaurowany według starych, zachowanych zdjęć, celem przywrócenia mu secesyjnego wnętrza, jakie pamiętają rodowici łodzianie. Ich też najbardziej — zapewne — ucieszy ta wiadomość." Tyle artykuł. Autorem tej notatki była osoba podpisująca się literkami — (J.W.).

Chociaż od ukazania się tej notatki upłynęło przeszło półtora roku, nic nie wskazuje na to, aby „Esplanada" otworzyła wkrótce swoje podwoje. Kto pamięta „Esplanadę" z lat międzywojennych, musi obiektywnie stwierdzić, iż był to lokal godny odrestaurowania i przywrócnia do dawnej świetności. Domy towarowe PSS, choćby najpotrzebniejsze mogą powstawać wszędzie. Ale taka kawiarnia, jak „Esplanada" była zjawiskiem niepowtarzalnym, na co składały się takie czynniki, jak kulturalna atmosfera, swoisty, kameralny klimat, odpowiedni wystrój architektoniczny etc. Dobrze by było, aby odpowiednie władze pomyślały o tym pierwotnym, słusznym projekcie i doprowadziły go konsekwentnie do ostatecznej realizacji Tego wymaga dotrzymanie słowa, które przecież do czegoś zobowiązuje.

HENRYK ZIMNISZ

TEATR

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

TRADYCJA I POSTĘP CZASU

„Jestem przeciwnikiem teatru tzw. proletariackiego. Nie wolno nam traktować robotnika z gestem wielkopańskiej wyrozumiałości. Zawsze twierdziłem i twierdzę nadal, że robotnik równie dobrze zrozumie i odczuje piękno utworów klasycznych, romantycznych czy skrajnie nowoczesnych, jak i przeciętny inteligent. Trzeba tylko jasno i czytelnie podać mu każde widowisko".

Leon Schiller (1946)

Przytoczona, jako motto, wypowiedź, w wyzwolonej od okupanta Łodzi, zabrzmiała niezwykle aktualnie. Miasto to staje się wobec zniszczenia Warszawy głównym ośrodkiem politycznego i kulturalnego życia kraju. Kształtuje nowe oblicze świadomości estetycznej środowiska robotniczego, które rozumie ciężar odpowiedzialności za nowe narodziny Łodzi.

„Nadszedł czas — pisał w swoim aktorskim testamencie Stefan Jaracz **— że teatr może się stać poważną instytucją w budowie kultury narodu, taką, jaką jest w świadomości społeczeństwa bezsprzecznie szkoła. Jest to czas, w którym może się skończyć dwuznaczność społeczna teatru...".**

Dyskusja, która rozpętała się wokół funkcji teatru, pogłębiła się w związku z zagadnieniami repertuarowymi. Ówczesna postulatywna krytyka teatralna widziała Teatr Wojska Polskiego, jako wyłącznie teatr klasyczny, TUR i Kameralny, jako teatry o repertuarze kameralnym i współczesnym. Stało się inaczej, a zwłaszcza w nowo powstałym, ale o głębokich tradycjach teatrze Wojska Polskiego. Teatr ten przejął funkcję świadomego kontynuatora bogatej przeszłości łódzkiego Teatru Miejskiego, pogłębiając te tradycje, aby przekazać je scenie im. Stefana Jaracza (od 1949 r.). Teatr Wojska Polskiego podejmował repertuar z zakresu klasyki polskiej i obcej na równi z twórczością współczesną (L. Rachmatow „Niespokojna starość", J. Giraudoux „Elektra", S. Otwinowski „Wielkanoc", A. Ważyk „Stary dworek", K. Simonow „Zagadnienie rosyjskie", J. P. Sartre „Ladacznica z zasadami", K. Korcelli „Bankiet").

22 marca mija 30 lat od premiery „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego — pierwszej premiery teatralnej w wyzwolonej Łodzi.

Był to czas przełomowy, ogień dyskusji czołowych publicystów i powrót na scenę **Seweryny Broniszówny, Wojciecha Brydzińskiego, Aleksandra Zelwerowicza, Janiny Romanówny, Józefa Węgrzyna, Jerzego Leszczyńskiego, Władysława Grabowskiego, Elżbiety Barszczewskiej, Mariana Wyrzykowskiego itd., itd.**

Dyrekcja Teatru im. S. Jaracza (Teatr Wojska Polskiego): Władysław Krasnowiecki (1945—1946), Leon Schiller (1946—1949), Iwo Gall (1949—1952), Feliks Żukowski (1952—1955), Emil Chaberski (1955—1958), Karol Borowski (1958—1960), Feliks Żukowski (1960—1971), Jan Maciejowski (od r. 1971).

Model teatru zarysowany już w pierwszym sezonie przez ówczesnego kierownika artystycznego, **Władysława Krasnowieckiego,** stał się modelem, który przetrwał aż po dzień dzisiejszy, kładąc pomost między tradycją a teraźniejszością. Model ten nasycany indywidualnościami poszczególnych kierowników artystycznych Teatru Wojska Polskiego, a potem im. Stefana Jaracza stanowił o randze ogólnopolskiej tej sceny, którą w latach czterdziestych nazywano „narodową". Miano to uzyskała w okresie dyrekcji **Leona Schillera,** którego osobowość twórcza pozbawiona pewnej natarczywości, gwałtownej reakcji ustąpiła miejsca zadumie i radości umysłu z uzyskanej harmonii duchowej i filozoficznej. Harmonia ta odbiła się w takich inscenizacjach, jak „Wielkanoc" S. Otwinowskiego „Krakowiacy i górale" W. Bogusławskiego, „Celestyna" de Rojasa, „Burza" W. Szekspira, „Igraszki z diabłem" J. Drdy, „Gody weselne" L. Schillera, „Na dnie" M. Gorkiego i „Kram z piosenkami" w opracowaniu L. Schillera.

Solidarystyczna postawa Leona Schillera w owym okresie, odbiła się najsilniej w inscenizacji „Burzy".

„Nowoczesność spojrzenia — pisał Edward Csato **— miała się wyrażać przede wszystkim pozycją Kalibana w przedstawieniu".**

Leon Schiller obciążając odpowiedzialnością Prospera za los Kalibana zbudował kulminacyjną scenę zbratania, co stało się wykładnikiem postawy filozoficznej inscenizatora.

W roku 1949 zespół Teatru Wojska Polskiego na czele z Leonem Schillerem opuścił Łódź i przeniósł się do Warszawy. Teatr Kameralny Erwina Axera również wyjechał do stolicy.

Był to okres przełomowy nie tylko dla teatru łódzkiego, ale i dla całej kultury polskiej. Łódź jednak w tej niecodziennej sytuacji znalazła się w centrum zainteresowania całego kraju. Powstaje dejmkowski **Teatr Nowy.** Teatr w **„nieznanym mieście, o nieznanych potrzebach i nieznanej publiczności"** obejmuje **Iwo Gall** z młodym zespołem Teatru Wybrzeża, **„stając wobec nie byle jakiej tradycji, którą trzeba będzie podjąć i wobec chlubnego dziedzictwa, któremu trzeba będzie sprostać".**

We wstępnej deklaracji Iwo Gall powiedział, **„że Teatr im. S. Jaracza nastawia swój repertuar na sztuki wielkie, klasyczne".** Deklaracja ta stanowi niejako kontynuację tradycji i ilustrację modelu całego trzydziestolecia, oczywiście modelu repertuarowego. Chociaż najbardziej odbiegają od niego zainteresowania współczesnością **Jana Maciejowskiego.**

Stylistyka Teatru im. Stefana Jaracza w trzydziestoleciu była odbiciem przemian zachodzących w teatrze polskim, a także indywidualności twórczych kierownictw artystycznych; teatr ten przeszedł przez wszystkie modele teatru aktorskiego i teatru reżyserskiego.

Co więcej, potrafił w okresie od 22 marca 1945 roku do 22 marca 1975 roku zachować **„repertuar którego** — jak zapewniał Leon Schiller — **nikt się nie powstydzi, a który zobowiązujemy się w najrzetelniejszych kształtach artystycznych wykonać".**

Fronton gmachu przed 1966 rokiem

PLASTYKA

MARIAN JAESCHKE

„Autoportret" 1946

Najtrafniej chyba i najpełniej określają istotę malarstwa Mariana Jaeschkego jego własne, przy różnych okazjach wypowiadane słowa: — Można grać całą orkiestrą, można grać na organach elektronowych, na gitarze elektrycznej podłączonej do wzmacniacza o dużej mocy, można grać na aparaturze elektronicznej, można grać nowocześnie Bacha na pralce, klaksonie i młocie pneumatycznym, a Beethovena supernowocześnie na młocie pneumatycznym, klaksonie i pralce, można... słowem można grać wszystko na wszystkim, ale to wszystko nie wyklucza możliwości i celowości gry na skrzypcach — tradycyjnie a dobrze. Otóż to.

Cała sztuka Mariana Jaeschkego to właśnie gra na skrzypcach. Gra na tradycyjnym instrumencie, tradycyjnie, prosto i pięknie. A i melodie, które gra Jaeschke, są dobrze znane: tematyka jego obrazów — martwa natura, pejzaż, scena figuratywna, portret — to przecież przedmiot odwiecznych zabiegów malarskich.

Marian Jaeschke od 1947 roku mieszka i pracuje w Łodzi. Mimo stałego uczestnictwa na wystawach okręgowych i ogólnopolskich, sztuka jego pozostawała w cieniu, a sam jej twórca bardziej znany był jako znakomity pedagog i wychowawca niż jako malarz.

Mimo licznych nagród, wyróżnień, odznaczeń wydaje się, że oficjalny mecenat widział w nim i doceniał bardziej profesora Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi niż twórcę, który uparcie i mozolnie idzie swoją własną ścieżką do wytkniętego przez siebie samego celu. I nie można się w gruncie rzeczy dziwić takiej sytuacji. Dźwięk skrzypiec, gdy wokół panuje hałas klaksonów i pralek, sztuki nowoczesnej i pseudonowoczesnej, awangardowej i pseudoawangardowej są niedosłyszalne. Nie znaczy to wcale, że malarstwo Mariana Jaeschkego było nieznane i niezauważane, przeciwnie — znali je doskonale ci, którzy na wystawach szukali sztuki, a nie mody czy najnowszej nowinki z Paryża, Londynu i Warszawy. Znali je ci, którzy chcieli słuchać muzyki a nie hałasu. Dla narkomanów wrzasku malarstwo Jaeschkego nie istniało; więcej — nie miało prawa i racji bytu. Nie istnieje też dla tych, którzy z nachalną uporczywością maniaków twierdzą, że malarstwo stalugowe, robione pędzlami na płótnie przy pomocy farb olejnych skończyło się bezpowrotnie.

Taki stan rzeczy trwałby zapewne jeszcze bardzo długo, gdyby nie okazja. Okazją stał się jubileusz 40-lecia pracy twórczej profesora Mariana Jaeschke, przypadający w roku bieżącym i związana z nim wystawa retrospektywna (w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza). Skrzypce mogły zagrać solo, zabrzmiały bardzo czysto...

Roman Artymowski w krótkiej impresji poświęconej malarstwu Jaeschkego, pomieszczonej w katalogu wystawy:

„Oglądając wystawę malarstwa prof. Jaeschkego, spoglądając na obrazy, które nie narzucają się hałaśliwą instrumentacją, wkraczamy w krąg sztuki cichej, skupionej, gdzie bohaterami są przedmioty naszej codziennej obserwacji nobilitowane widzeniem artysty. Obrazy prof. Jaeschkego nie zaskakują widza ani brutalnym zestawieniem barwy, ani zdumiewającymi rozwiązaniami formalnymi, ale dyskretnie wprowadzają w świat rzeczy prostych, opowiadanych ściszonym, spokojnym głosem. A są to opowiadania prawdziwe, pełne szczerości i skromności, zadumy i pasji dociekania w nieustannym śledzeniu wzajemnych stosunków świata, przestrzeni, formy i koloru. Są to, jak gdyby okna, przez które artysta zaprasza do spojrzenia na świat nieustawicznych konfliktów, ale istnienia, świat, który codziennie spotykamy w zasięgu naszych wnętrz i który w pośpiechu codzienności oduczyliśmy się spostrzegać".

Należy zaznaczyć, że jubileuszowa wystawa Mariana Jaeschkego nie stanowi pełnej retrospekcji. Wojna zniszczyła w warszawskiej pracowni artysty cały jego przedwojenny i powstały w okresie okupacji dorobek twórczy. Ocalało kilka zaledwie obrazów w kolekcjach prywatnych. Nie mamy więc możności zapoznania się z młodzieńczymi obrazami Jaeschkego; stajemy od razu wobec twórczości dojrzałej, wynikającej ze skrystalizowanych już poglądów artystyczno-filozoficznych i estetyczno-moralnych. Mimo tej luki nietrudno jest nam odkryć źródła, z których wywodzi się sztuka Mariana Jaeschkego.

Poddając wnikliwej analizie twórczość Jaeschkego, Henryk Anders dochodzi do wniosku, że:

„Powojenną twórczość artysty dało by się z grubsza podzielić na trzy okresy. Niemal do końca lat pięćdziesiątych uprawiał malarstwo w zasadzie realistyczne, tyle że utrzymane w ścisłych rygorach klasycystycznego konstruktywizmu. Rygorach znamiennych, choć może zaskakujących u człowieka w życiu niezwykle impulsywnego w sztuce starannie reżyserującego doznania i świadomie dawkującego emocje. W kompozycjach, martwych naturach, a nawet pejzażach kładł nacisk na architektonikę obrazu, w dążeniu do syntezy nie tylko selekcjonował i upraszczał motywy, ale przede wszystkim troszczył się o logikę układu plam i kształtów. W obrazach tych każdy element jest czytelny, każdy kształt jasno zarysowany, plamy koloru dość mocne, zestawione z prawdą obserwacji, kompozycja budowana na przeciwstawieniu pionów i poziomów, linii prostych i krzywizn.

Tej umiejętności uogólniania — tak pożądanej i wysławianej w okresie dominacji socrealizmu — zawdzięczał Jaeschke nieoczekiwany sukces w środowisku: znalazł wielu naśladowców, stanął jakby mimowoli na czele licznej grupy zwolenników orientacji jonstruktywistycznej.

Pod koniec okresu namalował artysta kilka impresji pejzażowych tak su-

„Zrywanie owoców" 1966

marycznych w ujęciu, że mogły uchodzić za kompozycje na wpół abstrakcyjne. Ale był to w jego dorobku twórczym tylko epizod.

W następnym dziesięcioleciu — jakby w proteście przeciw nadużywaniu kontrastów barwy przez niezliczonych w tym czasie apologetów abstrakcyjnego ekspresjonizmu — artysta zaczął redukować paletę aż do gamy bezkontrastowych szarości. Unikając łatwych i hałaśliwych efektów, w poszukiwaniu delikatnych zestawień i subtelnych przejść tonalnych, rozbielał kolory z myślą o zagęszczeniu materii. Budował teraz formy kolorem, niewielkimi, równomiernie rozmieszczonymi plamami, ale rezygnując z kontrastów kolorystycznych nie zaniedbywał jasnej konstrukcji, kontrastów wielkości i kierunków. Wyciągając wnioski z malarstwa freskowego w kompozycjach figuralnych wydłużał i lekko stylizował postacie ludzkie, nadawał im wyszukane pozy, spiętrzał je lub ustawiał w dekoracyjne i jakby taneczne fryzy, wtapiał w odrealnione tła. Wprowadzało to do obrazów pewną tajemniczość, pewien sens alegoryczny. Nie chodziło mu jednak o wątki literackie, jak sam wyjaśnia — interesował go głównie wygląd przedmiotów, układ kształtów zwidzianych w rzeczywistości, stanowiących „pretekst" do intrygujących rozwiązań plastycznych. Monumentalizacja, uproszczenia, dekoracyjność układu, zasada ogólnego widzenia — zbliżają te obrazy do malowideł ściennych. Ten okres „stylizacji" zakończył się około roku 1971. Jaeschke przesycił się szarościami, wrócił stopniowo do dawnej spotęgowanej gamy, do pejzaży i kontrastowych, bogatszych w akcesoria martwych natur. Charakterystycznych, bo zawsze wprowadzających na scenę postać ludzką, jakiś wtręt człowieka, choćby w formie cytatu".

Wystawa Jaeschkego niepełna jest nie tylko z racji spustoszeń, dokonanych przez pożar w czasie Powstania. Nie ma na niej ani projektów, ani zdjęć z realizacji malowideł ściennych, których Jaeschke wykonał bardzo wiele — zaczynał jeszcze jako student pod kierunkiem Kowarskiego, malując w jego zespole plafony na Wawelu. Jest to obszar twórczości szalenie interesujący w całokształcie dorobku Mariana Jaeschkego i szkoda, że nie został udostępniony chociaż w formie reprodukcji w katalogu.

Obrazy stalugowe Jaeschkego, to malarstwo cichego, lecz niezwykle czystego tonu. On sam zaś jest człowiekiem bez reszty oddanym sztuce. Piotr Potworowski zwykł mawiać, że „poetą się bywa, a malarzem trzeba być przez przerwy". Jaeschke jest malarzem bez przerwy. Zachował on młodzieńczą wiarę w sens i niezniszczalność malarstwa. Zachował również wiarę w sens sztuki nasyconej wartościami czystego humanizmu. Postawa taka zasługuje na nieteatralny szacunek. I może budzić zazdrość.

ANDRZEJ GRUN

JERZY WILMAŃSKI

FUTUROLOGIA

Widzę to dziś
nocą chłodną od twoich rąk
nocą jasną od włosów
zdyszaną od ust

Widzę to dziś

Poszarzali od lat
Zgorzkniali od klęsk
Staniemy obok siebie przypadkiem w tramwaju

Ile w nas wtedy będzie nienawiści
za noce pełne słów
za niepodjęte decyzje
za naszą gorycz
zastygłą w piersiach
jak głuchy ołowiany dzwon

Ile w nas wtedy będzie nienawiści

ODA

Słabości moje piękne i okrutne wady
nieczułości moje, dławiące nałogi
moje słowa brutalne, moje czułe słowa,
moje nienawiści, chimery i złości...

Kiedy się Polska cała w afirmacji nurza
ja się was nie wyrzekam ani nie oburzam.

Moje noce bezmyślne, moje ludzkie noce,
moje klucze zgubione, moje upodlenia,
moje ławki na skwerach, moje przerażenia,
to wszystko złe, co we mnie – moje najdotkliwsze.

Kiedy się Polska cała w afirmacji nurza
ja się was nie wyrzekam ani nie oburzam.
Bo tylko to jest moje – co moją słabością,
Chociaż mnie w gardle dławi racjonalną kością.

TOURNÉE

A więc tak się zaczyna moje wejście w starość
rosną mi jak na drożdżach zgorzknienie i małość

tak się pochylam w siebie
chwytam kostur złości
żółć i ślina na chodnik

Moja pierś ciągle pusta – mówię przyjaciołom
moje wiersze pomięte – przerażony wołam
tak się zadyszką karmię
przygięty do mrozu
który mi głowę owiał

A więc tak się zaczyna moje wejście w starość
trucht dookoła lampy choć światła nie stało.

OCALENIE

Czy mnie ocalisz w mojej bezradności

Miasto faluje między nami
noc się zaczęła
nad przedmieściem mgła
parują nad nią przyszłe noce

Czy mnie ocalisz w mojej bezradności
gdy opuszczam ręce
albo gdy biegnę w którąkolwiek stronę
z głową w srebrnym szronie

Co zdołasz ocalić z mojej bezradności

Poczucie winy
czy klęskę miłości

EKSCERPTY

Rzadko dziś używany jest wyraz „ekscerpt", oznaczający „wyciąg", oczywiście nie ten, jaki służy do wyciągania narciarzy na szczyt góry. Używamy go w tytule, ponieważ cała ta kolumna składa się z wyciągów z różnych szpargałów, zaścielających stoły i szuflady mej pracowni, która przypomina nieraz pokój Puszkina z „Martwych dusz" Gogola.

KLAN WYJĄCEGO PSA

(fragment z felietonu Witkiewicza i głosy do niego)

Stanisław Ignacy Witkiewicz napisał rzecz pod tytułem „Niemyte dusze", która wkrótce wraz z „Narkotykami" ma być wydana przez PIW. Z cząstki tych „Niemytych dusz" — „Klanu wyjącego psa" pozwalamy sobie zacytować kilka jakże aktualnych wyjątków:

„Ale to, co się dzieje z radiem, jest szkodliwe dla muzyki jako sztuki i szkodliwe dla całej ludzkości — jako zagłupienie denerwującym lub usypiającym wszelką czujność wewnętrzną co do oceniania wartości hałasem".

„Nawet w zimie, przy szczelnie pozamykanych oknach, wciska się wszędzie zmieszany, rozedrgany, bebechowy, zmysłowy rozgwar muzyczny, uniemożliwiający prawdziwe umysłowe skupienie".

„Ta pani jest, słowo daję, cudna... Ta chwila nigdy nie wróci... Ten urok zabija niesamowitą rozkoszą... Ta chodźmy tańczyć urocze tango, unoszące w niepowrotny żal minionych chwil... Ta jak się pani ślicznie śmieje... itp".

Ulżywszy sobie z tym lwowskim „ta", Witkiewicz smali dalej:

„Poza tym narzucają swój program: ja chcę (dajmy na to — ja w ogóle nic nie chcę — ja chcę spokoju) mszy żałobnej w Barcelonie, a on mi puszcza śpiewy przy zbiórce kukurydzy" (Witkiewicz ma na myśli nie „Negro spirituals", lecz rozmaite potupkiwania amerykańsko-murzyńskich rumb itp).

„Ludzie głuchną powoli, sami o tym nie wiedząc i to, co dla jednych jest już potwornym rykiem, dla nich jest łagodnym mruczeniem z surdinką". (Z tłumikiem!)

„...tenorek trzeciej klasy wyje:

Ty moja ach, ach, przeciem ja utracił ciebie,
Ach, w tej miłości, ach, ja byłem, ach, jak w niebie,
Rozstanie to zabija me uczucia tak,
Że jestem teraz taki zwykły flak (itd.)"

A w czasach Witkiewicza nie nadawano romansu niedźwiedzia z żabką, zdaje się Romana Sadowskiego oraz jakichś złotych czy niebieskich niedźwiedzi śpiących, dajmy na to, w zielonych klatkach.

Cytowanym słowom Witkacego ani dzisiaj nic dodać, ani niczego nie ująć.

Bo gdyby ów lekki towar muzykowy był tworzony umyślnie „na odtrąbiono", to by nas może nie dziwiło. Poważniejszy kompozytor może machnąć pod pseudonimem jakąś chałę, „żeby żyć". Jak to się już gdzieś napisało, „chała i fucha (...) nawet najbieglejszego rzemieślnika nie hańbi".

Ale te wyjące, hałaśliwe muzyczki i ogłupiające tekściki są często robione przez ludzi, co nic innego, lepszego, zrobić nie umieją.

Franciszek Schubert, autor wielu zachwycających pieśni, w przypływie dobrego humoru napisał „Symfonię nocnikową", „Eine Nachttopfsimphonie". Napisał ją jako „privat-musik".

Podobnie jak autor „Zemsty" napisał utwór wierszowany „Pi...mira", dla grubej zabawy. Według Melchiora Wańkowicza, rzecz ta została wydana przed wojną jako „privatdruck" z rysunkami Mai Berezowskiej. Nam zaś wydaje się, że widzieliśmy tę pornograficzną książeczynę ilustrowaną szczodrze przez wilnianina Kamila Mackiewicza.

Ale dla jakiej zabawy „klan wyjącego psa" przerobił śliczny menuet Mozarta na estradowy hulahopszlagier? „Marsz żałobny" Chopina na swinga? Szkoda, że nie przerobił jeszcze „Chorału" Kornela Ujejskiego na „bigbita" .... Albo „Roty"!

ZNALIŚMY WITKACEGO Z AUTOPSJI

(fragment z przypomnień spraw zapomnianych)

Stanisława Ignacego Witkiewicza, czyli Witkacego, znaliśmy nie tylko z serii portretów, zdobiących ściany pracowni jednego z nieżyjących łódzkich poetów. I z kilimu zakopiańskiego, scedowanego pierwszej żonie tego poety, znajomej Witkacego.

I kilim i portrety ów poeta sprzedał ZAIKS-owi po pięćset złotych za jeden obraz. Potrzebował pieniędzy. Ile otrzymał za kilim i kto go dzisiaj posiada — nie wiem.

Witkiewicza, my młodzi krakowianie z gór, próbujący parać się piórem, znaliśmy ze sztuki wystawionej przez teatrzyk eksperymentalny w krakowskim Domu Plastyków przy Łobzowskiej. Ten teatrzyk, w którym grali zawodowi aktorzy i plastycy nazywał się „Cricot". Dawał przedstawienia z dekoracjami Potworowskiego także w warszawskim IPS.

Znaliśmy Witkiewicza z innych jego sztuk, jak i z analiz jego Czystej Formy, dokonywanych przez Karola Irzykowskiego w „Walce o treść".

Znaliśmy go też z autopsji.

W domu profesorów z prawdziwego naukowego zdarzenia, przy ulicy Łobzowskiej, nazywanym przez krakowian „Krematorium" z powodu czarnych, kafelkowych ścian, mieszkał profesor psychologii eksperymentalnej UJ — Stefan Szuman, zabawiający się w pisanie wierszy (wydał je pod pseudonimem „Flis").

Szuman był przyjacielem Witkiewicza. Państwo Szumanowie zapraszali co tydzień na pogawędkę młodzież uniwersytecką. Pani Szumanowa w czasie takiego spotkania-pogawędki obstawiała stół ciastkami i papierosami „Ergo". Podawała także w kubeczkach zieloną herbatę cejlońską o smaku gorzkich orzechów.

I papierosy „Ergo" i ciastka" znikały w kieszeniach młodych gości, głodomorów.

Na jednym z takich spotkań pojawił się Witkacy. Usiadł w fotelu, nic nie mówił. Sądziliśmy, że śpi. „Szuman potraktował go meskaliną — myśleliśmy — a teraz on pod wpływem tego narkotyku robi swoje fantasmagorie. Zostaną one wykorzystane do celów naukowych".

Ale Witkiewicz nie spał. Udawał, że śpi. Słuchał słów wypowiadanych przez gawędzących żółtodziobów, wreszcie kichnął jak z armaty, po czym rzekł:

— TAK KICHALI MARYNARZE HOLENDERSCY W SIEDEMNASTYM WIEKU.

Był to żart, a niektórzy z nas uważali to powiedzenie za wyskok półwariata.

Wielu ludzi w Polsce uważało Witkacego za dziwaka. Ba! za grafomana. Poważniejsi pisarze — za grafomana z dodatkiem przymiotnika „genialny".

Ten „genialny grafoman", gdy miał niewiele latek, napisał dziecinny utwór (drukowany po wojnie w „Przekroju"); ten dziecinny utworek Witkacego nie różnił się w zasadzie od „Zielonych Gęsi", pisanych przez dorosłego Gałczyńskiego. A stylem może także od tekstów słynnego Cami'ego, współpracownika paryskiej „Illustration". Ten sam purenonsensowy, nadrealistyczny, subtelny, wyrafinowany humorek.

EKSCERPT Z MARKA TWAINA. JEDŹMY! KTOŚ NAS WOŁA

Nieżyjący już profesor polonistyki na UJ i rektor, przed wojną docent przy krytyku Stefanie Kołaczkowskim (przed objęciem profesury też docencie, ale uniwersytetu berlińskiego), autorze m. in. pracy o Ryszardzie Wagnerze, był przeciwnikiem mieszania gatunków literackich. A więc psa z świdrem i wydrą, i wydry z świdrem i psem.

Ile to jednak powstało i powstaje utworów — mieszanin gatunków?

Czym jest dzieło, które według Thomasa S. Eliota zadało śmiertelny cios powieści dziewiętnastowiecznej — „Ulisses" Joyce'a? Wszystkim!

Z nieśmiałością ludzi małych przystępujemy do własnej mieszaniny, noszącej tytuł „Jedźmy! Ktoś nas woła".

Pochodzi ona z konspektów nie dołączonych do mojej książeczki „W krainie majaczeń. Groteski". Nie wznowionej przez S. W. „Czytelnik", bo nie lubimy obdreptywać własnych spraw. Siuchcić o koleżeńskie recenzje i antyszambrować. Miotać się i krzyczeć, jak to powiedział Mark Twain, jak kura, co zniosła jajo, a wrzeszczy jakby zniosła planetę. I korzystać z każdej okazji wybębnienia własnego nazwiska. Nie imamy się nawet takich czystych sposobów, jak dokonywanie mistyfikacji przekładowych, jak np. przyswajania językowi polskiemu literatury poważnej lub rozrywkowej z obcych języków, których w sposób doskonały, ba! nawet mierny nie opanowaliśmy.

Swego czasu Leon Pasternak zaproponował mi przetłumaczenie jakiegoś drobiażdżku z języka czeskiego.

— Drogi Leonie — powiedziałem — znam parę czeskich i słowackich piosenek, rozumiem je i śpiewam sobie dla rozrywki, ale poza tym czeskiego i słowackiego ani w ząb.

— Nie wiesz, jak to się robi? — roześmiał się.

Dziś wiem, że idzie się do biura tłumaczy, płaci się za surowe tłumaczenia, przeinacza je tak, aby brzmiały bardzo po polsku. I po kłopocie. Albo korzysta się z pomocy rodaka, niedawnego tułacza, znającego obce języki. I też po kłopocie.

Z tych pomocy korzystając można przetłumaczyć literaturę całego świata, nie wyłączając pisanej w volapuku i języku suaheli. Murzynów przecież i poliglotów nie brak w każdym większym mieście.

W czasie niewesołym, dla radości groteskowej, podpisałem własną „Sagę o trzech dziurkach w nosie" — tłumaczenie z irlandzkiego. Rzecz w „Czytelniku" przeszła, ale popełniłem mistyfikację. Myślę — brudną, lecz konieczną.

Oto przykład pomieszania prozy literackiej z artykułową:

Prażone majowym słońcem łęgi schodzą ku wodzie wiślanej, rozprzestrzeniającej się na tym zakolu w rozlewisko bez granic. Zieleń jest na poły wiosenna, na poły letnia.

Tydzień temu, rozmyślasz, drzewa przed przyborem przybrzeżne teraz stoją w mętnej wodzie do połowy pni; to po gałęzie.

Przypomina ci się krajobraz górnej Amazonki, który ileż razy zwiedzałeś we śnie?

Widziałeś kwiaty Victoria regia amasonica o liściach przeszło dwumetrowej długości, wspaniale kwitnące na swych ojczystych wodach; bielugi Wołgi i jesiotry.

Nie musiałeś do sennych rojeń zaopatrywać się w wizy i paszport, starać się o pozwolenie na wywóz walut. Ani o miejsce w naddźwiękowcu, by znosić towarzystwo bogatych Amerykanek o końskich, angielskich zębach; ani ich mężów, kupców; patrzeć na keepsmilingśmiejące się stewardessy.

Wyobraźnia i sny objawiają się bez żadnych balastów: w jednym momencie oglądasz kaszaloty wód Antarktydy, w drugim, odziany w włochate poncho pędzisz na grzbiecie mustanga po trawach pampasów. Prędzej przenosisz się z Paryża do Nowego Yorku niż na caravelle, lżej od albatrosa przelatujesz nad dżunglami Wenezueli!

I nie czujesz własnego ciała, ni pościeli. Nie trapią cię pytania: jesteś, nie jesteś, dlaczego, skąd i po co?

Patrząc na Wisłę, przypominającą ci mętny Ganges, a z poplątanych grabów — wodne mangrowe zarośla korzeniogałęzi, chciałbyś się urodzić po raz drugi, aby nigdy nie umierać.

Oto Diana, wsparta na łokciach, z włosami dziewczęcia-wiosny Botticellego, z twarzą obróconą ku słońcu-Heliosowi, nie marmurową, ni wyrzeźbioną w chryzelefantynie, muska cię dmuchawcem w nos. Sarny o kobiecych oczach pokładają się bez lęku wokół niej. W takiej rzeczywistości kruki znosiły pokarm Danielowi wśród lwów, wilk chodził łagodny jak jagnię za biedaczyną z Assyżu. Matka Boska przynosiła puszkę powideł bratu Jazłowcowi.

Wsiadłszy z boginią na koń, ona z nóżkami przewieszonymi na bok dzianeta, deresza, ty — siadający okrakiem, po chłopsku, na oklep i boso, na tarantowatym, przedostałbyś się na drugi brzeg Wisły, na skraj puszczy. Polecałbyś wstrzymać wszelkie sianokosy.

Niech jesień i zima niweczą wonne, żubrze tomki, wiechliny, wyczyńce, firletki, nie — rzeź sprawiana przez oprawców kosiarzy!

Zapachem kniei Niepołomickiej upici wzięlibyście się z powrotem ku Wiśle, w kwileniu czajek, derkaniu derkaczy, gdyby nie Karol Kuryluk, redaktor o śniadej twarzy, później przyjaciel kultury i sztuki, minister-towarzysz w szydełkowym, zwyczajnym pulowerku, gdyby ten umęczony przez życie człowiek nie wyrwał mnie z rojeń słowami:

— Wstawajcie z tej trawy. Jedźmy. Tam na nas w Pawłowicach czekają. Musimy załatwić z kolegą Przybosiem sprawę tej umowy o tom wierszy.

Jak anioł strącony z nieba kopnięciem Archanioła, spadasz w rzeczywistość.

— Ale jakże tu szczęśliwie, spokojnie, błogo — broniłeś się. — Najlepiej byłoby na tych łęgach budować świat. Śniło mi się, że jechałem z Dianą konno.

— Po co? Najprzód trzeba tę rzekę uregulować. Woda zalała ludziom domostwa i pola!

— Uregulować, uregulować — jęczałeś, oglądając swe wilgotne spodnie.

— Uregulować, uregulować — zaczęło coś jazgotać w motorze trójkołowego samochodu, w którym ślicznego majowego dnia wybraliśmy się do resztówki, w której wciąż jeszcze mieszkał z żoną, dorodną panią Hesią, pan o siwej bródce Fauna i dobrotliwym uśmiechu, Leopold Staff.

Ta resztówka była cząstką kilkusethektarowego majątku Ludwika Hieronima Morstina. Zawiadywał nią z ramienia związku literatów wysoki, śniadawy pan, pisarz Marian Ruth-Buczkowski oraz... bandy różnych szabrowników, podszywających się pod zrzeszenia wyższych użyteczności. Były to czasy różnych narad, przekształceń i chaosów. Pewnego zimowego jeszcze dnia weszli do pałacu osobnicy, podszywający się pod ekipy Dąb-Kociołа, asystującego reformie rolnej w innych okolicach. Na twarzach mieli chusteczki do nosa.

Jeden z nich powiedział do kolegów, wskazując lewą ręką żonę Staffa i kierując palec prawej w stronę jej małżonka:

— Ta pani żyje z tym panem na wiarę.

I wyrwał papierosa z ust Staffowej, rzucił go na podłogę i podeptał.

W tym samym roku 1945 Staffowie wyjechali do Krakowa, aby zamieszkać tuż obok Domu Literatów, kamienicy Mehoffera i ogródkowej „Egerii" jego syna. Później Staff znalazł się na Ziemiach Odzyskanych, zamieszkał w willi po G. Hauptmannie.

Pamiętam: w mieszkaniu ciotki Tadeusza Kwiatkowskiego, aktorki Marii Dulęby (żony Juliusza Wołoszynowskiego), ujrzawszy autora „Sosny wejmuty", utworu bardzo nas, młodych rozrzewniającego, gdy w stanie podchmielonym począłem barokowo kadzić Staffowi — od archijerejów Młodej Polski, Belzebubów poetyckiego dramatu, Percy Bysshe Shelley'ów liryki, ark przymierza pomiędzy dawnymi a obecnymi laty i pochyliłem się ku jego dłoni, klęcząc na jednym kolanie jak niemiecki książę w „Hołdzie pruskim", wybuchnął wzbierającym już od początku kadzenia śmiechem. I skubiąc bródkę powiedział:

— Za kogo mnie tu bierzecie? Za biskupa?

Wtedy już był rzeczywiście jakby biskupem, metropolitą polskiej poezji.

ZYGMUNT FIJAS

Po dłuższej przerwie otworzył dla nas swoją szufladę Zygmunt Fijas (ur. w 1910 r.), autor wielu tekstów satyrycznych rozsianych po czaopismach i antologiach, a częściowo zgrupowanych w pięciu tomikach: „Portret z sera" (1954, 1958), „O szkodliwości kominów" (1964), „Z notatnika prowincjusza" (1966), „Twarzą do tyłu" (1970), „W krainie majaczeń" (1972). Wobec wiosny, ferii świątecznych oraz inauguracji wspaniałego miesiąca kwietnia nie pytajmy pisarza o prawdę i zmyślenie, fakty, pozory i podteksty. Spotkamy się przecież znowu (trzeba to powiedzieć z sytasfakcją) z prozą o śmiałą, nieraz z brawurą, poprowadzonych wątkach, z których jedne odsyłają wprost do rzeczywistości na prawach pamiętnikarskiego zapisu, inne natomiast — zrodzone z czystej imaginacji — przekomarzają się z otoczeniem, obyczajami, życiem kulturalnym w sposób bardziej zamaskowany i pośredni. Walczą z tymi zjawiskami, których Fijas nie lubi, a w których zapewne wielu z nas także nie gustuje. Groteskę lubimy jednak wszyscy (podobnie jak Witkacego, znanego autorowi „z autopsji"), ironia i autoironia też są dzisiaj w cenie, co napawa optymizmem, bo raźniej jest żyć wśród ludzi o wyrobionym poczuciu humoru. Tych właśnie zapraszamy do studiowania „Ekscerptów" Zygmunta Fijasa — dla refleksji, nauki i zabawy.

U PRZYJACIÓŁ

W atelier studia filmowego DEFA zakończono zdjęcia do nowego filmu „Lotta w Weimarze" w reżyserii Egona Günthera na podstawie powieści Tomasza Manna. Książka Manna poświęcona jest Charlocie Kestner, jej przyjazdowi u schyłku życia do Weimaru i spotkaniu z Goethem.

Rolę Charlotty odtwarza znana aktorka zachodnioniemiecka — Lili Palmer, a Goethego — Martin Helbert. Premiera filmu odbędzie się w czerwcu bieżącego roku, w setną rocznicę urodzin Tomasza Manna.

* ★ *

Nowy spektakl o Aleksandrze Puszkinie „Miedziana babunia" wystawił Moskiewski Teatr Artystyczny. Premiera stała się wydarzeniem sezonu. Sztuka jest dziełem dramaturga Leonida Zorina, który uczestniczył w realizacji wraz z Olegiem Jefremowem, głównym reżyserem spektaklu.

W sztuce przypomniane zostały wiosna i lato 1834 roku — jeden z najbardziej dramatycznych okresów w życiu Puszkina — kiedy to poeta, według słów autora sztuki, próbował się wyrwać z więzów petersburskiego życia, oderwać od carskiego dworu i osiedliwszy na wsi zająć się pracą nad historią Piotra I. Zorin wykorzystał dzienniki Puszkina, jego korespondencję z żoną, przyjaciółmi i bliskimi, pamiętniki osób współczesnych poecie, a także dokumenty pochodzące z archiwów historycznych Moskwy i Leningradu.

Główną rolę pisał Zorin specjalnie z myślą o Jefremowie, uwzględniając cechy charakterystyczne jego talentu. Obraz genialnego rosyjskiego poety w jego wykonaniu, w znacznym stopniu przyczynił się do sukcesu spektaklu.

* ★ *

Kilka razy w roku w różnych regionach naszego kraju organizowane są Dni Kultury NRD. W tym roku odbędą się one we Włocławku, Lublinie, Nowym Sączu i Rzeszowie.

Planuje się również szereg imprez związanych z istotnymi rocznicami dla kultury NRD. I tak w stulecie urodzin Tomasza Manna Ośrodek Kultury i Informacji NRD w Warszawie wspólnie z Instytutem Filologii Germańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego organizuje konferencję naukową poświęconą życiu i twórczości tego wielkiego pisarza. Podobnie obchodzona będzie 75 rocznica urodzin pisarki Anny Seghers.

* ★ *

Dział cimeliów Państwowej Biblioteki ZSRR im. Lenina w Moskwie wzbogacił się o książeczkę — unikat: jest nią broszura z tekstem francuskim, bez karty tytułowej, z napisem na ostatniej stronie: „Aleksander Hercen Londyn 1853". Jak wynika z pierwszych zdań tekstu, jest to francuski przekład artykułu Hercena w sprawie polskiej, zaczynającego się od słów: „Krew i łzy, wspólna walka połączy Polskę i Rosję", napisanego przez autora w odpowiedzi na apel tzw. centralizacji emigracyjnej, (wydziału wykonawczego Towarzystwa Demokratycznego Polskiego). Apel wzywał do jedności polsko-rosyjskiej w zwalczaniu caratu i został opublikowany w brzmieniu rosyjskiego oryginału w Londynie 20 lipca 1853 roku.

Współczesna bibliografia dzieł Hercena odnotowuje tłumaczenie artykułów, umieszczone w piśmie „Demokrata Polski" oraz w gazetach francuskich „La Nation" i „L'Homme" również w 1853 roku, natomiast istnienie zwartego druku z francuską wersją publikacji Hercenowskiej nie było dotąd znane. Ciekawostką broszury — unikatu jest wydanie jej w oficynie drukarskiej Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, chociaż Hercen dysponował własną „Wolną drukarnią rosyjską".

* ★ *

Na zaproszenie KC PZPR przebywał w Polsce kierownik Wydziału Kultury KC KPZR Wasilij Szauro. Celem wizyty było zapoznanie się z problematyką pracy partyjnej w dziedzinie kultury oraz wymiana doświadczeń w zakresie polityki kulturalnej. W toku przeprowadzonych rozmów omówiono także problemy współpracy kulturalnej między Polską a ZSRR a w szczególności program zbliżających się dni kultury radzieckiej w Polsce. W. Szauro towarzyszył kierownik sektora w wydziale KC PZPR Piotr Kostikow.

W. Szauro został przyjęty w Min. Kultury i Sztuki przez członka Biura Politycznego KC PZPR, wicepremiera i ministra kultury i sztuki Józefa Tejchmę. Podczas rozmów w Wydziale Kultury KC PZPR, w których uczestniczył sekretarz KC, Wincenty Kraśko, omówiono stan obecny i perspektywy dalszego rozwoju współpracy kulturalnej między Polską i ZSRR

W. Szauro spotkał się także z przedstawicielami środowisk twórczych. Był m. in. gościem wykładowców i studentów Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie i członków zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk". Odwiedził też pracownie czołowych warszawskich plastyków.

KRAJE EWG

DALSZY WZROST BEZROBOCIA i INFLACJI

Bezrobocie jest obecnie głównym tematem artykułów prasy zachodniej. Liczba bezrobotnych w Stanach Zjednoczonych sięga 8,2 proc. wszystkich zatrudnionych, co stanowi mniej więcej 7 i pół miliona ludzi, a zatem liczbę równą ludności Szwecji. W wielu przemysłowo rozwiniętych krajach Zachodu wrogiem nr 1 okazała się nagle nie inflacja, lecz bezrobocie.

Opublikowane niedawno dane statystyczne dosłownie wstrząsnęły Zachodnią Europą. W ciągu roku poziom bezrobocia wzrósł o 250 procent w Niemczech Zachodnich, o 110 proc. w Danii, o 50 proc. we Francji. Zachodnioniemiecki ekonomista, G. Hoesecke, przestrzega, że obecny poziom bezrobocia jest już niepokojący także z politycznego punktu widzenia. Ekonomiści twierdzą, iż w najbliższych miesiącach listy bezrobotnych wydłużą się jeszcze bardziej. Eksperci Wspólnego Rynku przewidują, że w Zachodniej Europie, gdzie bezrobocie wzrosło w porównaniu z 1973 rokiem o 38 proc., do lata tego roku straci pracę co najmniej dalszych 500 tysięcy osób. W Stanach Zjednoczonych sytuacja jest jeszcze gorsza. W końcu 1974 roku bezrobotni stanowili 7,1 proc. całej siły roboczej USA. Administracja prezydenta Forda przyznaje, iż w roku bieżącym poziom bezrobocia przewyższy, być może, 8 proc. Pesymiści podnoszą tę liczbę nawet do 10 proc. i przewidywania te nie są pozbawione podstaw, bowiem w lutym tego roku, według oficjalnych danych, liczba bezrobotnych USA wynosiła już 8,3 proc. Pewien amerykański architekt, który stracił pracę osiem miesięcy temu, powiedział jednemu z korespondentów pisma amerykańskiego, że czuje się jak „człowiek skaczący z samolotu na spadochronie, który otwiera się po 25 sekundach lotu. Tyle tylko, że do Ziemi leci się 20 sekund..."

Być może sytuacja nie pogorszy się aż tak bardzo, jak przewidują to ekonomiści, niemniej z dnia na dzień znika wiara w przyszłość pod wrażeniem codziennych informacji o nowych zwolnieniach z pracy i zamykanych przedsiębiorstwach. W styczniu, tylko w ciągu jednego tygodnia, dziesiątki zachodnich gigantów przemysłowych, chełpiących się swoją odpornością na wstrząsy gospodarcze, poinformowały o redukcji tysięcy robotników i urzędników. W Detroit „wielka trójka": „Ford", „General Motors" i „Chrysler" dokonała dalszych zwolnień z pracy. W konsekwencji 300-tysięczna armia bezrobotnych przemysłu samochodowego powiększyła się o dalszych 70 tysięcy robotników i techników.

Podobna sytuacja panuje w Europie Zachodniej. We Włoszech, w przeciągu trzech miesięcy, około 55 tysięcy robotników w fabrykach „Fiata" przestawiono na 3 dni pracy w tygodniu z jednoczesnym zmniejszeniem zarobków. W Niemczech Zachodnich dwie największe kompanie samochodowe: „Volkswagen" i „Opel" zwolniły z pracy około 100 tysięcy robotników. Nawet w Japonii, gdzie przez długi czas, dzięki różnym systemom opiekuńczym, robotnikom fabryk zapewniano pracę „od kolebki aż po grób", ogólny spadek ekonomiczy w krajach kapitalistycznych zmusił niektóre kompanie do zmniejszenia liczby zatrudnionych, „Sonć", „Tosiba" i „Hitati", znane w świecie firmy elektroniczne, poinformowały ostatnio o konieczności zwolnienia z pracy około 90 tysięcy ludzi, to jest ponad połowę zatrudnionych robotników.

W wielu miastach Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej bezrobotni cierpliwie stoją w długich kolejkach, żeby zarejestrować karty na otrzymanie zasiłku. Jednakże, mimo rosnącej liczby bezrobotnych i pogarszającej się sytuacji ogólnej, wielu specjalistów zachodnich wątpi by obecny stan w gospodarce kapitalistycznej przerodził się w ekonomiczną katastrofę w skali ogólnego kryzysu lat 1929—1933. Sądzą oni, iż przywódcy krajów zachodnich nie będą spokojnie siedzieć z założonymi rękami, nie podejmując walki z bezrobociem. Od czasów wielkiej depresji lat trzydziestych, większość krajów rozwiniętych utworzyła fundusze zapomóg socjalnych, z których ludzie bez pracy mogą otrzymywać przez pewien czas choć część swych zarobków.

Tak jest istotnie, tylko że rozmiary inflacji, określanej dziś dwucyfrową liczbą, mogą przekształcić nawet najbardziej szczodrą rekompensatę w nędzną jałmużnę. To po pierwsze. A po drugie — problem dotyka godności i ambicji ludzkiej: ogromna większość bezrobotnych, to ludzie z określonym fachem, częstokroć wysoko wykwalifikowani robotnicy i pracownicy umysłowi, którzy chcą pracować w swoich zawodach i otrzymywać za swoją pracę określone wynagrodzenie, a nie datki. We Francji, jak donosi „Newsweek", pewien bezrobotny, były wyższy urzędnik, nie może się uwolnić od uczucia winy i wstydu, i dlatego też każdego ranka wychodzi z domu i wraca późnym wieczorem, żeby ukryć przed dziećmi sytuację, w jakiej się znalazł. Tak więc, chociaż świat zachodni nie stoi chyba jeszcze u progu wielkiego kryzysu lat trzydziestych, to jednak dzisiejsze, młode pokolenie robotników i urzędników nigdy dotąd nie przeżywało tak ciężkich czasów.

Niedawno niewielka londyńska firma elektroniczna zamieściła w prasie ogłoszenie, że zatrudni gońca. Wśród 60 osób zainteresowanych tą ofertą było 10 maklerów giełdowych, 3 prawników i kilku urzędników bankowych. Kiedy dyrektor firmy powiedział jednemu z tych urzędników bankowych (absolwentowi najbardziej ekskluzywnego Eton College, znakomitemu sportowcowi, uczestnikowi Igrzysk Olimpijskich), że jest zbyt poważny do takiej pracy, ten odparł: „To jest nieważne, muszę nakarmić żonę i dwoje dzieci".

Był taki czas, kiedy uważano, że w krajach Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej problem bezrobocia nie istnieje w ogóle. Dziś czasy te należą do miłych wspomnień. Spadek ekonomiczny w Zachodniej Europie nabiera tempa i w ciągu roku liczba ludzi pozbawionych pracy zwiększyła się o milion. Ogólnie, według niektórych danych, nie ma pracy 3 i pół miliona osób. Stanowi to około 4 proc. całej siły roboczej EWG. Ekonomiści snują ponure wizje, że do wiosny tego roku liczba ta wzrośnie, mniej więcej, do 4 milionów ludzi. Byłby to najwyższy poziom bezrobocia od czasu powstania EWG (17 lat temu).

Niektórym krajom Zachodu udało się uchronić swoich obywateli od konieczności korzystania z zasiłku. W Norwegii na przykład, gdzie pełną parą idą prace nad przygotowaniem do eksploatacji nowych pokładów ropy naftowej na szelfie Morza Północnego, stopień bezrobocia wynosi zaledwie niecały procent. Jednakże w większości krajów zachodnioeuropejskich, nawet tradycyjnie ustabilizowane gałęzie przemysłu odczuły już na sobie zależność od wstrząsów gospodarczych w świecie kapitalistycznym. Tylko w krajach socjalistycznych odczuwa się brak rąk do pracy.

Najbardziej dotkliwe ciosy spadły na przemysł samochodowy. Zbyt samochodów w krajach EWG zmniejszył się w ubiegłym roku od 10 do 30 procent. W Anglii popyt na samochody jest tak mały, że w styczniu tego roku amerykańska filia kompanii „Chrysler" była zmuszona do przestawienia dwóch trzecich swego personelu na 3 dni pracy w tygodniu. Mniejsze firmy, jak np. brytyjska „Austin-Marlin", po prostu „nacisnęły na hamulec", dokonując zabiegu „dostojnej" likwidacji.

Zdaniem ekonomistów w krajach Zachodniej Europy problem bezrobocia skomplikuje się jeszcze bardziej. Tymczasem wielu dyrektorów dużych przedsiębiorstw kapitalistycznych w Zachodniej Europie zamierza z zimną krwią wykorzystać spadek ekonomiczny do zwiększenia wydajności pracy tych robotników, których jeszcze nie wyrzucono na bruk. Ale o wiele bardziej decydujące znaczenie dla rozwoju wydarzeń w najbliższym czasie będzie miała inna tendencja: większość przedsiębiorców nie będzie chciała powiększać swego personelu dopóty, dopóki nie ustabilizują się i nie utrwalą „dobre czasy". Jakiekolwiek zmiany w obecnej sytuacji uważa się za bezcelowe i nieopłacalne.

Przed milionami Amerykanów — pisze korespondent „Newsweeku" — stanął nagle już nie problem wzrostu cen utrzymania, a po prostu kwestia, jak wiązać koniec z końcem. Rząd USA podjął szereg decyzji mających na celu osłabienie następstw bezrobocia. W grudniu ub. roku Kongres wyasygnował do dyspozycji władz lokalnych 4 miliardy dolarów. Za środki te, do marca br., miały być podjęte tzw. prace publiczne, umożliwiające zatrudnienie setek tysięcy ludzi.

Bezrobocie postawiło przed rządami krajów zachodnich problemy niezwykle skomplikowane i trudne do rozstrzygnięcia. Okazało się, że tradycyjne rozwiązania już nie wystarczają, że rządy znalazły się w pułapce: „bezrobocie albo inflacja", z której nie widać wyjścia. Jak to się stało — pytają one — że polityka, która dotąd skutecznie funkcjonowała w utrzymaniu stabilizacji budżetowej i wzrostu ekonomicznego, teraz doprowadziła do zamkniętego koła inflacji i bezrobocia? I co należy robić?

Wśród ekonomistów burżuazyjnych nastąpił rozłam, nie mogą dojść do jednomyślnego wniosku. Niektórzy uważają, iż najlepszym rozwiązaniem jest radykalna rewizja kolejności zadań ekonomicznych, poczynając od rewizji tezy głoszącej, że każdy ekonomiczny wzrost jest dobry, a maksymalny wzrost ekonomiczny jest jeszcze lepszy. Inni twierdzą, że określony poziom bezrobocia jest jedynym środkiem wyjścia z inflacji i że świat zachodni powinien się do tego przystosować. Z kolei jeszcze inni specjaliści wyrażają uzasadnione obawy, że płacąc bezrobociem za obniżenie tempa inflacji, kraje zachodnie bynajmniej nie wygrywają na czasie. I tak dalej i tak dalej...

Propaganda burżuazyjna próbuje wyjaśnić gwałtowny wzrost liczby bezrobotnych ostatnim zaostrzeniem kryzysu energetycznego, zwalając za to winę na kraje eksportujące naftę. Ale, jak świadczy analiza sytuacji w szeregu krajów zachodnich, obecna fala bezrobocia jest następstwem niedomogów całego systemu gospodarki kapitalistycznej.

JERZY CZECH

■ POWRÓT Z PUSTYMI RĘKAMI

■ ZABÓJSTWO I JEGO NASTĘPSTWA

Dwa wydarzenia ostatnich dni znów na czoło przeglądu aktualiów międzynarodowych wysuwają Bliski Wschód. Są to: fiasko misji Kissingera oraz zabójstwo króla Arabii Saudyjskiej — Fajsala. Skomentujemy oba.

W ub. tygodniu pisaliśmy o „wahadłowych podróżach" amerykańskiego sekretarza stanu między stolicami państw bliskowschodnich, wyjaśniając, jakiego to kompromisu obu stron konfliktu poszukuje Waszyngton. Dwa tygodnie intensywnych rozmów nie przyniosły jednak sukcesu. **Kissinger powrócił do Stanów Zjednoczonych z niczym.** Biały Dom zapowiedział w związku z tym „ponowną ocenę" sytuacji bliskowschodniej, która ma potrwać 3—4 tygodnie. Elementami tej oceny mają być: ewentualność zaostrzenia sytuacji aż do wybuchu działań wojennych łącznie, perspektywa wznowienia prac genewskiej konferencji pokojowej, rola Organizacji Wyzwolenia Palestyny w poszukiwaniu pokoju, a nade wszystko stan i perspektywy stosunków USA ze światem arabskim i Izraelem. **Nieustępliwość Izraela irytuje już niektórych polityków amerykańskich.** Pojawiły się głosy, że Izrael tym stanowiskiem działa wbrew swoim, szerzej pojętym, interesom. Pisze się, że Departament Stanu w listach do 30 krajów, wyjaśniających przyczyny niepowodzeń Kissingera, wychwala postawę prezydenta Sadata, wskazując tym samym, czyje stanowisko uniemożliwiło postęp. Tak oto państwo, które korzysta z pomocy USA (w br. Izrael ma otrzymać 2,5 mld dolarów) pogrzebało nadzieję Waszyngtonu.

Załamanie się misji sekretarza stanu jest dotkliwym ciosem dla polityki amerykańskiej, której właśnie teraz potrzebny był sukces. Zmienia też ocenę o samym Kissingerze. „Z wizerunku Kissingera-czarodzieja, polityka i dyplomaty, który załatwi wszystko, czego się dotknie — pisze nasz korespondent z Waszyngtonu — pozostały gruzy". Przestał on być nietykalnym autorytetem także dla Kongresu, który ma ambicję odgrywać większą rolę w kształtowaniu polityki zagranicznej i potknięcie Kissingera z pewnością skwapliwie wykorzysta.

Ale to są już konsekwencje wewnętrzne w USA. A co dalej z konfliktem bliskowschodnim?

Fiasko rozmów Kissingera potwierdza słuszność stanowiska radzieckiego, że tylko genewska konferencja może dać grunt pod trwałe pokojowe rozwiązanie.

Tak rozumuje także Egipt. Już po odjeździe amerykańskiego sekretarza stanu egipski minister spraw zagranicznych publicznie poinformował, że zamierza zwrócić się do współprzewodniczących konferencji — ZSRR i USA o jej zwołanie.

Jeszcze nie ucichły pierwsze, impulsywne echa niepowodzenia USA **— a tu już nowa sensacja: zabójstwo króla Arabii Saudyjskiej — Fajsala.** Zginął on z ręki jednego ze swych bratanków, podobno psychicznie chorego.

Trudno teraz stwierdzić, czy były, a jeśli tak, to jakie, polityczne motywy zabójstwa. Wyjaśni to czas.

Najwyższe reakcje tego wydarzenia odnotować można w świecie arabskim, który stracił duchowego przywódcę islamu. Konsternację natomiast wywołało ono w Stanach Zjednoczonych. Konserwatyzm i fanatyzm religijny dotychczasowego władcy Arabii Saudyjskiej czyniły go niejako sprzymierzeńcem polityki USA, asem atutowym amerykańskiej polityki bliskowschodniej. Ponadto kraj ten ma zasadnicze znaczenie dla gospodarki zachodniej, ponieważ jest największym eksporterem ropy naftowej i posiada — po USA, Japonii i RFN — największe rezerwy walutowe. Rzecznik Departamentu Stanu nie bez głębszego powodu oświadczył, że **nagła śmierć Fajsala jest ciosem dla USA.**

Nowym królem Arabii został brat zamordowanego — Chalid Ibn Abdul Aziz. Wybór dokonany przez rodzinę królewską ma wskazywać na kontynuację dotychczasowej polityki. Ale czy tak będzie na pewno? Zdaniem komisji spraw zagranicznych Izby Reprezentantów USA — Chalid może być władcą tymczasowym, chimerycznym, ulegającym wpływom rodziny królewskiej.

Nie tak dawno brytyjski dziennik „Guardian" postawił pytanie, co stanie się z Arabią Saudyjską, gdy zabraknie tego autokratycznego przywódcy, któremu niepotrzebny był ani rząd ani parlament? Wcześniej, niż można było się spodziewać, pytanie znalazło się na porządku dnia.

Uzasadnione są więc powody Waszyngtonu do niepokojów, a zbieżność obu wydarzeń bliskowschodnich może być uznawana za oceanem za wręcz fatalną.

Zbyt wcześnie na dalekosiężne prognozy. Zakończmy więc komentarz stwierdzeniem, że **dopiero czas wykaże, jaka będzie pozycja Arabii Saudyjskiej po Fajsalu w świecie arabskim i muzułmańskim, i jaki będzie nowy układ sił na Bliskim Wschodzie.**

W. SŁAWSKI

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

POLTEST–75

Dziś się zaczyna ten gigantyczny maraton, turniej — czy ja wiem — przemysłu rozrywkowego w Polsce. Oczywiście do ogranych już dowcipów na temat tego przemysłu należy powiedzenie „manufaktura rozrywkowa", ale w końcu znalazło się grono ludzi, Stowarzyszenie, mecenasi — aby udowodnić, że i w tej dziedzinie wychodzimy z epoki kamienia chałturnego.

W ubiegłym roku z inicjatywy łódzkiego Stowarzyszenia Muzyki Estradowej zorganizowano I Polskie Targi Estradowe — Poltest 1974. Łódzkie Targi dość nieoczekiwanie, acz całkowicie zasłużenie, zyskały opinię największej akcji krajowego przemysłu rozrywkowego. Miały życzliwą prasę w całym kraju oraz były jedną z najlepiej zorganizowanych masowych imprez estradowych w ostatnich latach.

Nie był to strzał na wiwat, po którym zabrakło amunicji, a armata się rozleciała. Od 3 do 7 kwietnia bieżącego roku trwać będzie kolejna impreza targowa. Organizatorzy — ci co przedtem — Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Urząd Miasta Łodzi, Łódzki Ośrodek Telewizyjny.

Przewiduje się udział około 70 pełnospektaklowych programów estradowych, które będą zaprezentowane na 40 giełdowych pokazach. Odbędą się również trzy duże koncerty w Pałacu Sportowym, trzy wystawy (fotograficzna o tematyce festiwalowej, graficzna Andrzeja Gruna oraz ekspozycja okładek płytowych).

Impreza zaczęła się koncertem pod nazwą „Nowe twarze polskiej rozrywki", w którym zobaczymy m.in. zespoły: „Budka suflera" z Lublina, „Apokalipsa" ze Śląska, „Grupę Dominika" z Warszawy. Oczywiście i Łódź jest w tym koncercie reprezentowana bogato i bardzo ciekawie. Wystąpi zatem „Camer-Ton", nowa grupa „Happy End". Zbigniewa Nowaka oraz piosenkarki — Jaga Paduch i Lucyna Owsińska. Obie piosenkarki trochę znamy — pierwsza występowała (i zdobywała nagrody!) na łódzkich „Giełdach Piosenki" w Klubie Dziennikarza, druga — no to jasne! — całe lata prym wiodła w zespole „Pro-Contra".

Na czele programowego komitetu wykonawczego „Poltest 75" stoją ludzie sprawdzeni już i zahartowani w bojach o rangę artystyczną współczesnej polskiej rozrywki. A więc dyrektor SME, Andrzej Jóźwiak, Janusz Rzeszewski, Jerzy Woźniak, Ryszard Poznakowski, Stefan Kwaśniak... Kierownictwo literackie sprawuje Ryszard Czubaczyński.

A kto wystąpi? O tym informują afisze na murach Łodzi, informuje prasa codzienna. Wymienię więc dla przykładu Annę Jantar, Krystynę Prońko, Teresę Tutinas, Halinę Żytkowiak (której piękne zdjęcia obejrzeć można na sąsiedniej stronie). Z zespołów: Piotr Janczerski i Bractwo Kurkowe, Partita, Homo-Homini, Pro-Contra. Z kabaretów — warszawski ZAKR i wrocławska „Elita".

Słowem — sama elita polskiej estrady.

Na podsumowanie przyjdzie czas po 7 kwietnia, ale już dziś powiedzieć można, że Targi zapowiadają się więcej niż ciekawie. Model nowoczesnego działania przyjęty przez SME jest sensowną i atrakcyjną propozycją zmodernizowania i polepszenia stanu naszej rozrywki. Rozumie to doskonale również Departament Teatru, Muzyki i Estrady Ministerstwa Kultury i Sztuki, patronując tej niecodziennej i oryginalnej akcji, która przerodziła się w konkretną formułę handlową „Poltest 75" — formułę charakteryzującą się nowoczesnym, dynamicznym stylem i praktycznymi efektami artystycznymi.

WIDOK

LEWYM OKIEM

To mnie się nie podoba

Nie mam wcale ambicji purysty językowego, miewam nieraz chwile rozterki czy napisać jakieś tam słowo razem czy osobno, a nieustanne czyhanie i tropienie najmniejszych potknięć językowych w tekstach drukowanych czy mówionych wydaje mi się manią, nie pozbawioną pewnej zarozumiałości. Przy tym wszystkim jednak z przykrym zdziwieniem muszę zwrócić uwagę na zbyt często powtarzające się grube, elementarne błędy stylistyczne, popełniane przez zawodowych ludzi pióra, ba — przez uczonych polonistów! Tego to już naprawdę nie powinno być, takich fałszywie brzmiących tonów, takich — z niefrasobliwości chyba, bo nie z niewiedzy, płynących — niedoróbek w publikowanych tekstach.

Parę przykładów z ostatnich dni. **Dioniza Wawrzykowska — Wierciochowa** pisze o sobie w „Polityce":

Jako krytyk i polonistka z wykształcenia pisuję rozprawy o charakterze ściśle naukowym".

Parę zdań wcześniej i parę zdań później ta sama autorka pisze tak:

„R. Kaleta jako autor 54-stronicowej rozprawki o „Mazurku" stawia mnie szereg zarzutów..."; „W sposób nieprzemyślany R.K. zarzuca mnie posługiwanie się fikcją..."; „Przekazy te pozwoliły mnie ukazać stan uczuciowy Wybickiego..."; „Wiersz Norwida znany mnie był.." itd.

Dlaczego wciąż to fatalne **„mnie"**, kiedy wszelkie reguły stylistyczne domagają się we wszystkich powyższych przypadkach enklityki **„mi"**?

Eugeniusz Iwanicki w króciutkiej humoresce na łamach „Odgłosów" pisze:

„Jeśli nie będę znał treści poufnego zadania, jakim mnie obarczono, to wykonam go bez owego nerwowego podniecenia..."

Go?

Podobnie w „Przekroju", w recenzji z „Ptaków" Arystofanesa, pisze **Marian Sienkiewicz:**

...(reżyser) nic nie uronił ze znakomitego tłumaczenia. Wręcz przeciwnie. Wzbogacił go delikatnie i subtelnie...".

Wzbogacił **go**? W obu przypadkach oczywiście powinno być **„je"** zamiast **„go"**, i na dobrą sprawę „Przekrój" powinien przenieść cytowany fragment zdania na swoją ostatnią stronę z odpowiednio uszczypliwym komentarzem.

Recenzowane „Ptaki" przełożył z greckiego znakomity filolog — Artur Sandauer. Czytamy w recenzji, że przekład nie jest wierny filologicznie, za to dotrzymuje wierności starożytnemu sensowi. Skądinąd wiem, że jest to już siódme spolszczenie greckiej komedii (po Szujskim, Ulrichu, Butrymowiczu, Ciąglewiczu, Jedliczu i Srebrnym) i aż dziw bierze, ile razy i na ile różnych sposobów można dotrzymywać wierności sensowi. A jeszcze istniała wersja ósma, która z wiernością nazbyt się nie liczyła: przeróbka Tuwima z 1933 roku, o której — właśnie o tej niewiernej — pisał Boy Żeleński:

„wczorajszy Arystofanes był nie tylko najzabawniejszy, ale może i najwierniejszy duchem, najbliższy genialnego oryginału".

Można więc być wiernym filologicznie, albo co do sensu, albo duchem, a może i jeszcze inaczej. Zupełnie jak w małżeństwie.

W przeróbce Tuwima nie było Eulipidesa i Pistetajrosa, tylko Machlojkios i Klepibides. Nie zakładali państwa ptaków, jak w recenzji Sienkiewicza, tylko trafili w swej wędrówce do już istniejącego ptasiego państwa, jak u Arystofanesa. Założone miasto nazywało się Kukurykowo, u Sandauera jest Kukułczyn Chmurny — proszę bardzo. Najważniejsze jednak, że Tuwimowska wersja „Ptaków" była bardzo ostrą i bardzo akutalną satyrą (jeden z bohaterów ucharakteryzowany był nawet na Mussoliniego), pełną, jednoznacznych aluzji do dziejących się wokół zdarzeń i do działających, znanych powszechnie osobistości. Zupełnie jak u Arystofanesa, którego aluzje znane są i zrozumiałe wyłącznie uczonym filologom, ale to właśnie one stanowiły wartość i urok komedii w oczach jej współczesnych.

Wersja, grana w Warszawie, jest — powtarzam za recenzentem Sienkiewiczem, **„zabawą, przypowieścią o ludzkich marzeniach i złudzeniach, kabaretem, w którym lekko szydzi się z kiepsko działających mechanizmów społecznych, z przywar ludzkich"** itd. Dowiadujemy się, że **„gąbczasta powłoka chmur daje wykonawcom nieograniczone możliwości ruchowe"**. Że Pistetajros to **„postać plebejska wykrojona ze zgrzebnej materii ludowego poczucia humoru"**. Na koniec — że **„reżyser dopisał „Ptakom" morał i przestrogę"**. Tłumacz był wierny, za to reżyser dopisał. Mamy bowiem w teatrze wiek reżysera. A czy mamy tu owego poetę „szkoły urbobarbarystycznej", który deklaruje:

„Będę z najgłębszego przekonania opiewał ustrój państwowy, który zaprowadzisz, o wodzu! Czy mogę wiedzieć, jaki to będzie ustrój?"

Muszę zobaczyć jeszcze raz „Ptaki". A o błędach gramatycznych i stylistycznych, popełnianych przez polonistów, chciałbym raczej nie pisać.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

Pstrąg w sosie własnym

— Dwadzieścia lat temu — powiedział poważnym głosem Sekretarz Redakcji — **miałem przyjemność mieszkać w pokoju sąsiadującym z pokojem Leszka Skrzydło — współzałożyciela „Pstrąga" — i choć nie byłem polonistą zostałem członkiem teatru „Pstrąg". Co robiłem w „Pstrągu"?** — ciągnął dalej widząc moje zdziwienie — **byłem elektrykiem. Tak, tak, elektrykiem. Było to w auli przy ulicy Mariana Buczka i zamiast skomplikowanej aparatury miałem do dyspozycji tylko automatyczne korki, przy pomocy których zapalałem i gasiłem reflektory na scenie. Była to bardzo trudna praca, bo sceny zupełnie nie widziałem, a tylko miałem do dyspozycji scenariusz satyrycznej składanki „Nie mamy czasu". Później do zespołu przyszli fachowcy — studenci Politechniki Łódzkiej i tak zostałem bez „pracy". Taki już jest los amatorów, ale z zespołem „Pstrąga" nadal łączyły mnie stosunki przyjacielskie i sympatia. A obecnie „Pstrąg" obchodzi jubileusz dwudziestolecia pracy. Zainteresowalibyście się tym Rodak.**

Przyznam się, że jubileuszów nie lubię nade wszystko, a o „Pstrągu" napisano już sporo w codziennych gazetach, że miał 35 premier plus dwie z „Dyliżansa satyry", który był protoplastą „Pstrąga", że przewinęło się przez zespół przeszło 400 osób i część byłych członków zespołu jest dziś rektorami, dyrektorami, dziennikarzami, reżyserami, inżynierami, doktorami, profesorami itd. W końcu „Pstrąg" to sprawa Sekretarza Redakcji, niech się sam grzebie we wspomnieniach, a ja zajmę się zupełnie czymś innym. I sobotnie popołudnie zasiadłem przed telewizorem, aby obejrzeć sobie kolejne wydanie **„Studio 2"**.

„Studio 2" jak to łatwo zauważyć startuje obecnie w wolne soboty. Pomysł chyba dobry tylko wykonanie budzi niejakie zastrzeżenia. Ostatnia edycja **„Studia 2"** zaczęła się od prezentacji kolejnych bohaterów programu Mariusza Waltera „Progi i bariery". I muszę przyznać, że był to start nieudany. Realizatorzy założyli bowiem, że każdy telewidz, zasiadający w wolną sobotę przed telewizorem, aby oglądać „Studio 2", widział uprzednio ostatni program „Progi i bariery". Jest to niestety założenie błędne, a zatem dla tych, którzy tego programu nie widzieli spotkanie z jego bohaterami jest ani ciekawe, ani interesujące. Czekają więc z niecierpliwością na następne punkty programu **„Studio 2"**.

Kiedy pierwszy raz **„Studio 2"** pojawiło się na ekranie telewizyjnym kilku moich kolegów i przyjaciół wyraziło obawę, czy twórcom starczy pomysłów na dłuższą metę. Byłem optymistą, który w tych rozmowach bronił pomysłu i byłem wręcz entuzjastą **„Studia 2"**. Niestety, pomyliłem się. Okazało się, że pomysłów nie starczyło. Pocieszam się tylko, że może to chwilowy kryzys twórców programu. Obym się nie pomylił znowu!

Włączając telewizor w chwili rozpoczynania się **„Studia 2"** odbiorca programu oczekuje, że jego realizatorzy zasypią go kilkoma przynajmniej bombowymi odcinkami tego giganta telewizyjnego. Nikt nie wymaga od nich, aby przez cały czas trzymali widza w napięciu, bo to i niezdrowe i ponad siły zarówno twórców, jak i odbiorców. Przykro mi bardzo, ale w ostatnią wolną sobotę nic nie trzymało mnie w napięciu, choć — przyznaję — że czekałem i na przygody amerykańskiego komisarza i na film „Alarm w Kosmosie". Ale i przygody komisarza, i film raczej mnie rozczarowały. Zasięgnąłem opinii u innych, którzy te pozycje programu widzieli i mieli raczej podobne wrażenia.

Myślę, że **„Studio 2"** powinno w dalszej swojej pracy odejść od przyjętego schematu, bo jest to zły schemat i — co najgorsze — opatrzył się już telewidzom. Program **„Studio 2"** z ostatniej wolnej soboty, gdyby nie ciągle eksponowana plansza z napisem: „Studio 2", można byłoby potraktować jak każdy inny sobotni program. A przecież chyba nie o to chodzi.

„Studiu 2" życzę jednak wszystkiego najlepszego, jako że na początku byłem entuzjastą tego programu i wydawało mi się, że jest to trafne szukanie nowych rozwiązań w telewizji. Rysujące się ostatnio słabości tego programu mimo wszystko traktuję jako przejściowe, wynikające z wyczerpania się pomysłów. A pomysły — jak to chyba już wszystkim wiadomo — leżą na ulicy, trzeba tylko umieć się po nie schylić i zrobić to we właściwym czasie i miejscu. Czego serdecznie życzę twórcom i realizatorom programu **„Studio 2"**.

Serdeczne życzenia składam też **„Pstrągowi"**, który mimo że ma już 20 lat, potrafi dostosować się do zmieniających się warunków, innego odbiorcy i który trwa nadal, żyje i gra... Te życzenia dołączam z własnej woli i sympatii dla tego teatru i niech nikt nie pomyśli, że czynię to tylko dlatego, aby przypodobać się Sekretarzowi Redakcji, który kiedyś — w zamierzchłych czasach — zapalał i gasił sceniczne reflektory w tym teatrze. O nie!

MARCIN RODAK

JAPONIA

Jesteśmy zafascynowani Japonią. Japońska technika, japoński cud gospodarczy, tempo rozwoju kraju, który przecież przegrał wojnę i był w znacznej części zniszczony, na którym wypróbowano bomby atomowe budzi w nas niekłamany podziw. Ale jest to podziw wynikający z powierzchownej znajomości problemów współczesnej Japonii.

Stefan Wilanowski próbuje skonfrontować nasze powierzchowne sądy o Japonii z faktami i rzeczywistością. A ta nie jest taka różowa, jak to się nam wydaje. To prawda, że Japonią wysuwa się na czoło ekonomicznych potęg świata. W latach 1952—1970 gospodarka Japonii powiększyła się o 385 proc. a USA — o 84 proc. Japonia dużo eksportuje i dzięki temu zgromadziła znaczne zapasy obcej waluty, wśród których jest miliard złotych dolarów, ale odbywa się to kosztem ludności kraju, poziomu życia. W Japonii nie ma sprawnie funkcjonującego systemu ubezpieczeń społecznych, opieki lekarskiej, większość Japończyków mieszka w bardzo prymitywnych warunkach. Ostatnio przeprowadzone analizy wykazują, że Japonia jest pod względem stanu sanitarnego, sytuacji mieszkaniowej i innych dziedzin życia opóźniona w stosunku do USA i krajów Europy zachodniej o 10 lat.

Zniszczenie środowiska naturalnego w wielkich aglomeracjach japońskich jest już niemal przysłowiowe. Jest to już nie Kraj Kwitnącej Wiśni, a Kraj Usychającej Wiśni. Ekonomiści i przyrodnicy gwałtownie konstruują programy odrodzenia przyrody w Japonii. Taka jest cena, którą płaci społeczeństwo Japonii za gwałtowny rozwój przemysłu, techniki i cywilizacji.

Stefan Wilanowski — „Japonia — Społeczeństwo, Ekonomika, Polityka". Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa — 1974 r., str. 328, cena 40 zł.

REPORTAŻ TRZECH POKOLEŃ

Reporter notuje wydarzenia, fakty, nastroje, procesy, stan społecznej świadomości, obyczaje. Konstruuje z nich swoją opowieść o stawaniu się czasu teraźniejszego. Reporter ma szanse uchwycić to stawanie się na gorąco, pokazać je w ruchu, pokazać jak teraźniejszość przeobraża się w przeszłość, w to co stało się już dokonane. Czy to się zawsze reporterowi udaje? Różnie z tym bywa.

Jubileusze sprzyjają spojrzeniu wstecz, dokonywaniu rachunków, sporządzaniu bilansów. Jubileusze sprzyjają gromadzeniu wspomnień. Instytut Wydawniczy CRZZ z okazji Trzydziestolecia PRL dokonał bilansu reporterskich penetracji. Powstał dokument, pokazujący różne wycinki naszych dziejów, ujęte piórem i talentem reporterów trzech pokoleń.

Zaczyna się ten reportażowy bilans, „Miastem niepokonanym" **Kazimierza Brandysa.** To jest reporterski dokument z 1945 roku. Kończy się relacją **Wojciecha Żukrowskiego** z pobytu w Porcie Północnym. To był rok 1973. Książka nosi tytuł **„Szansa trzech pokoleń"** i jest przeglądem reportaży pokazujących proces przeobrażeń Polski. Niewątpliwie jest to wycinek reporterskiego trudu, ale wycinek interesujący, dobrany bowiem według przewodniej myśli, która był zamysł pokazania polskiego wysiłku w budowaniu nowego kształtu Polski.

Warto sięgnąć do zbioru reportaży **„Szansa trzech pokoleń"**, aby przypomnieć sobie, jak budowaliśmy naszą ojczyznę, jak zmienialiśmy jej oblicze w trudzie i znoju i jak byliśmy dumni z tego, co robiliśmy i co zrobiliśmy. Polskie przeobrażenia pokazano w **„Szansie trzech pokoleń"** oczyma, myślą i piórami najlepszych polskich reporterów. Czasem aż szkoda, że niektórzy z nich zaprzestali uprawiania reportażu.

„Szansa trzech pokoleń" — Instytut Wydawniczy CRZZ, Warszawa — 1974, Wybór Hanna Trentowska, str. 305, cena 30 zł.

WALKA IDEOLOGICZNA

W serii Książki i Wiedzy: Partia — Społeczeństwo — Propaganda ukazała się kolejna pozycja pt. **„Problemy współczesnej walki ideologicznej i rozwoju socjalistycznej ideologii i kultury".**

Jest to zbiór referatów z konferencji naukowej zorganizowanej w ZSRR a poświęconej problemom ideologicznym zawartym w materiałach XXIV Zjazdu KPZR. Przewodnią myślą konferencji naukowej były problemy jednostki w społeczeństwie socjalistycznym oraz zagadnienia współczesnej walki ideologicznej.

Wydawca materiały radzieckiej konferencji naukowej podzielił na trzy rozdziały. W pierwszym zebrał prace poświęcone walce ideologicznej i roli środków masowej informacji w wychowywaniu współczesnego człowieka. W drugim natomiast zgrupował prace poświęcone krytyce różnych antykomunistycznych teorii głoszonych na Zachodzie. Materiały zebrane w trzecim rozdziale dotyczą problemów ideologii i kultury.

Książka jest adresowana zarówno do działaczy propagandowych kultury, jak też do tych wszystkich, którzy żywo interesują się współczesnymi problemami, którzy ciekawi są tego, co dzieje się na świecie i chcieliby mieć na wiele spraw własny pogląd. Zebrane w książce materiały orientują w wielu aktualnych sprawach i pozwalają na wzbogacenie zarówno wiedzy o formach i treści współczesnej walki ideologicznej, jak też dostarczają wielu argumentów i faktów dla pełniejszego zrozumienia zachodzących w świecie procesów.

„Problemy współczesnej walki ideologicznej i rozwoju socjalistycznej ideologii i kultury" — „Książka i Wiedza", Warszawa — 1974, tłumaczył Fr. Biernacki, str. 243, cena: 25,— zł.

CYBERNETYKA I KULTURA

Za ojca cybernetyki uważa się Norberta Wienera, chociaż specjaliści twierdzą, że było ich kilku i niektórzy, już znacznie wcześniej kładli podwaliny pod naukę zajmującą się problemami sterowania. Prawdziwy początek cybernetyki przypadł jednak na lata 40 i 50 naszego stulecia i dziś trudno wyobrazić sobie jakąkolwiek dziedzinę nauki i życia, która mogłaby obejść się bez pomocy cybernetyki. Z wyjątkiem nauk społecznych.

Dokonującą się rewolucję naukowo-techniczną niektórzy skłonni są uznać za rewolucję informacyjną. Podkreślają oni, że co 10—15 lat podwaja się liczba opublikowanych prac naukowych. Podkreślają również, że żyjąca obecnie na świecie liczba naukowców stanowi około trzech czwartych naukowców jacy kiedykolwiek żyli do tej pory na świecie. Dochodzi do tego, że uczeni z poszczególnych dziedzin nauki nie tylko nie potrafią wzajemnie się porozumiewać, posługując się różną terminologią, ale też, że niektórzy biedząc się nad rozwiązaniem skomplikowanych problemów nie wiedzą, że został on już dawno rozwiązany w innym dziele nauki.

Jednakże w tym niezwykle szybkim pochodzie nauki daleko w tyle pozostają nauki społeczne, posługujące się tradycyjnymi metodami badań. Józef Kossecki — w oparciu o niektóre poglądy M. Mazura — zgłasza w książce „Cybernetyka kultury" propozycję unowocześnienia nauk społecznych przez wprowadzenie do nich cybernetyki. Wprowadzenie cybernetyki do nauk społecznych dało początek cybernetyce społecznej — nauce o sterowaniu procesami społecznymi. Cybernetyka kultury jest częścią cybernetyki społecznej.

Propozycja ta budzi wiele obaw i sprzeciwów ludzi zajmujących się naukami społecznymi, warto jednak się z nią zapoznać, gdyż nie ulega wątpliwości, że nauki społeczne muszą radykalnie zmienić swoje metody badań. Bowiem jak twierdzi Andrzej Targowski przejście od metod klasycznych do cybernetycznych polega na przejściu od statycznej do dynamicznej koncepcji świata.

Autor tej propozycji — Józef Kossecki przez długie lata pracował w Instytucie Podstawowych Problemów Technicznych PAN, a obecnie wykłada cybernetykę społeczną na Uniwersytecie Warszawskim oraz kieruje Pracownią Cybernetyki Społecznej i Metod Statystycznych w Naukach Społecznych przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Kielcach.

Józef Kossecki — „Cybernetyka kultury". Warszawa — 1974, PIW, str. 297, cena: 30,—zł

MAGAZYN
ODGŁOSY

HORACY SAFRIN

CHERCHEZ LA FEMME

KATARZYNA DE MEDICI

Zanim na tron wstąpiła, spytała malarzy:
„Powiedzcie, czy w koronie będzie mi do twarzy?"

PODZWONNE DLA MINI-MODY

Poświęcam ci najkrótszą z ód,
królowo mód,
poezjo ud!

DO ŚLICZNOTKI

Dla ciebie słowa pacierza zmienię:
Wódź mnie, aniele, na pokuszenie!

DO ZALOTNICY

Masz liczko gładkie, usta jak z koralu,
lecz wolę stronę odwrotną medalu.

PARADOKS

Za słodycz jej niewysłowioną
zapłaciłem cenę słoną.

SI DUO FACIUNT IDEM...

„Dlaczego masz przyjaciół dwóch?!" Odparła: „Mamo!
Gdy dwóch robi to samo, to nie jest to samo..."

NA „CHODZĄCĄ CNOTĘ"

Co ją wyróżnia spośród niewiast rzeszy?
Nic szczególnego. Wszak c h o d z ą c nie grzeszy.

PRZYGODNEJ

Byłaś jako ten wierszyk, który się pamięta:
forma łatwa, treść błaha, lecz dobra pointa.

MAŁE KINO

NOWOŚCI W HANDLU OBRAZEM

Zakłady im. Pamięci Letnich Dni wyprodukowały jako pierwsze w kraju wideokasety. Na każdej wideokasecie nagrane zostały występy nagiego Zespołu Żeńskiego Japońskiej Armii Samurajskiej wykonującego liryczne scenki kaszubskie. Na razie jednak, ze względu na niewynalezienie w kraju aparatury odtwarzającej, do każdej wideokasety dołączany będzie bezpłatnie staruszek wajdelota, który w domu klienta na żądanie wynuci treść kasety.

WIĘCEJ ŚWIATŁA!

Naukowcy filmowi przystępują wreszcie do nakręcania filmu o czarach, zabobonach i przeciągach. Epokowe to dzieło niejednego z nas zmusi do krytycznego myślenia. Przewiduje się dwie wersje filmu: naukową oraz prawdziwą.

U PROGU TAJEMNICY

Amerykański reżyser filmowy miał zwyczaj głośno opowiadać swemu psu treść tworzonego właśnie filmu. Pewnego razu spostrzegł jednak, iż wierne zwierzę patrzy tak mądrze, jakby rozumiało o co chodzi. Reżyser natychmiast zaprzestał opowiadań, dzięki czemu spojrzenie psa stopniowo przestało być mądre. Psy kryją w sobie jeszcze niejedną zagadkę.

ZBIORY NA CIELE

Znana gwiazda filmowa Zula Mole jest entuzjastką zbierania marek pocztowych. Ekscentryczna gwiazda nie korzysta jednak z albumów i przykleja swoje marki po prostu na własnym ciele. Młodzi zbieracze i doświadczeni już filateliści chętnie odwiedzają sympatyczną gwiazdę, by obejrzeć jej kolekcję.

WIOSNA ZA PASEM

Nasza telewizja w specjalnym wiosennym programie poświęconym rolnikom safandułom pouczy ich, jak chować głowę w czasie gradobicia. Rolnikom zapominalskim przypomni o powinności zdejmowania butów gumowych przed udaniem się na spoczynek, zaś rolników optymistów przestrzeże przed wysiewaniem nasion ananasów, które w naszej glebie wyrastają gorzko i złośliwie.

BRACIA CIĄGLE GÓRĄ

Na dworcu Łódź Fabryczna doszło do doniosłego eksperymentu. Odświętnie ubrana ekipa filmowa postanowiła nakręcić przyjazd pociągu pospiesznego z Warszawy lepiej, nowocześniej i ciekawiej niż bracia Lumière. Obiektywne trudności sprawiły jednak, iż pociągu nie sfilmowano, poprzestając jedynie na nagraniu głosu z megafonu, donoszącego o jego spóźnieniu.

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

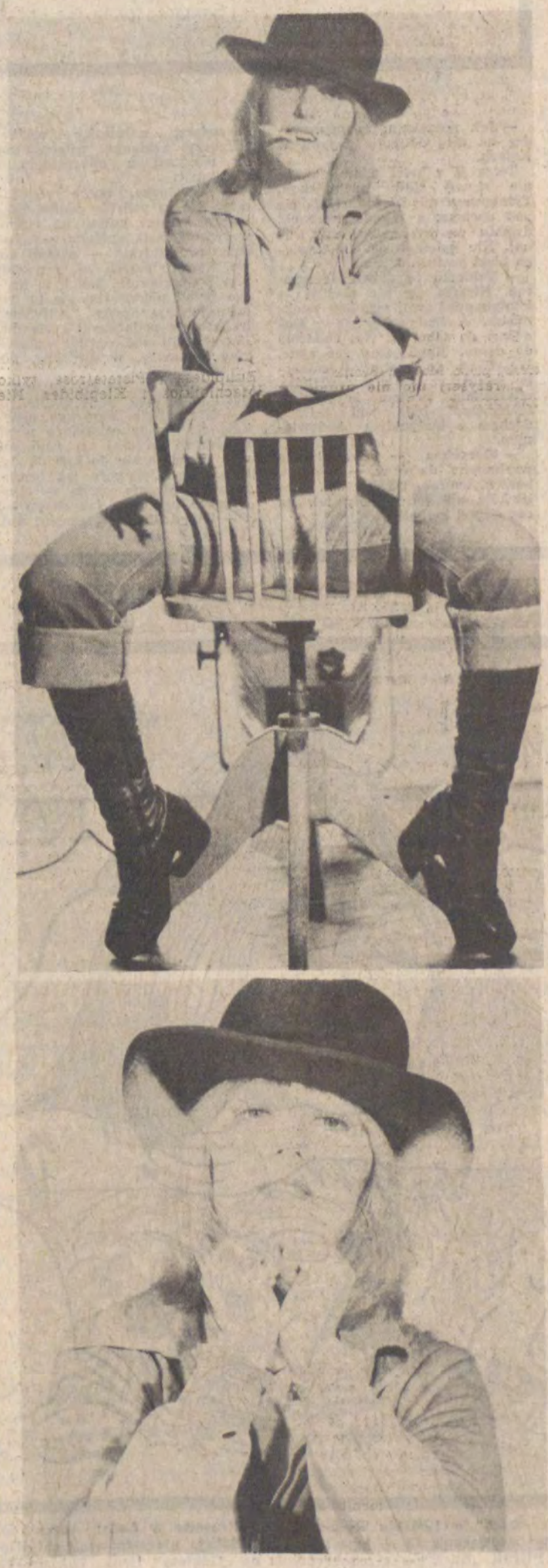

DRUGIE POLSKIE TARGI EST
HALINA ŻYTKOWIAK

WACŁAW PAWLAK

DAWNE KALENDARZE ŁÓDZKIE

Pierwsze kalendarze książkowe pojawiły się w naszym kraju już w XVI stuleciu. Były one niegdyś bardzo poczytne, a często stanowiły jedyną książkę w danym domu czy dworze. Stare kalendarze zawierały prognozy pogody, rozmaite przepowiednie i horoskopy, a także poradnictwo medyczne, oczywiście na poziomie ówczesnej wiedzy. Udzielały też czytelnikom porad w różnych kłopotach i trudnych sytuacjach życiowych. W miarę upływu czasu, ukazujące się kalendarze stawały się coraz lepsze, coraz rzetelniej informujące o ciekawych wydarzeniach. Cieszyły się więc powodzeniem.

„Co weźmiesz książkę świeżo wyszłą spod prasy, to natkniesz się na kalendarz — pisał warszawski „Przegląd Tygodniowy" w 1875 roku. — Cienkie i grube, wielkie i małe kalendarze, jak z rogu obfitości zasypują półki księgarskie. Cieszylibyśmy się z tego, gdyby powódź ta przynosiła nam płody wyższej wartości — ale to rzadko ma miejsce. W tym względzie bardzo szczęśliwie wyróżniają się kalendarze prowincjonalne, które z powodu zapewne wiadomości czysto miejscowych, zakreślają sobie nie tylko właściwą sferę krążenia, ale i użyteczności istotnej. Kalendarze takie upowszechniają się coraz więcej. Wydaje je już Lublin, Kalisz, Piotrków, Kielce".

Poczytność kalendarzy skłoniła również łódzkich nakładców do dostarczenia miejscowym czytelnikom tego typu wydawnictw. Pierwszy kalendarz, wydany w Łodzi w języku polskim, ukazał się w 1888 roku, a nakładcą jego był niejaki Natan Zylbersztajn, rodem z Wiślicy. „Kalendarz Łódzki" wydrukowano w zakładach graficznych ówczesnego „Dziennika Łódzkiego". Oprócz części informacyjnej zawierał kilka opowiadań, a między innymi nowelę „Na przesmyku" autorstwa... nakładcy kalendarza. Jednakże głównym motywem wydania „Kalendarza Łódzkiego" przez Zylbersztajna nie były jego aspiracje literackie, a raczej nadzieje na pokaźny zysk, gdyż dwie trzecie zawartości wydawnictwa stanowiły dobrze płatne ogłoszenia łódzkich firm przemysłowych i handlowych. „Kalendarz Łódzki", pomimo zapewnień nakładcy o jego kontynuowaniu w następnych latach, okazał się wydawnictwem jednorazowym.

W rok później znany księgarz i wydawca łódzki, Cezar Richter, wydał obszerny, starannie redagowany kalendarz „Łodzianin". Tłoczono go w drukarni Rudolfa Luthera. Wydawnictw to poza częścią kalendarzową zawierało działy informacyjno-adresowy i literacki. Kalendarz Richtera zamykały liczne ogłoszenia, dające panoramiczny przegląd przemysłu i handlu łódzkiego z przełomu XIX i XX wieku.

W „Łodzianinie" na 1893 rok znajdujemy „Taryfę domów miasta Łodzi z wykazem cyrkułów policyjnych i rewirów sądowych", przepisy o zatrudnianiu robotników fabrycznych, rozkład jazdy drogi żelaznej fabryczno-łódzkiej oraz omnibusów, z którego to dowiadujemy się, że „kurierka osobowo-listowa z Kalisza przychodzi do Łodzi w poniedziałki, środy i soboty". Na osobną uwagę zasługują zamieszczone w kalendarzu monografie znaczniejszych fabryk łódzkich: Juliusza Heinzla, Karola Scheiblera, Heinzla i Kunitzera na Widzewie. Stała rubryka „Z roku na rok" daje obszerny przegląd wydarzeń z dziedziny gospodarczej i kulturalnej, jakie miały miejsce w Łodzi na przestrzeni minionego roku. Napotykamy tu także interesujący opis pierwszej wystawy ogrodniczej w naszym mieście, otwartej we wrześniu 1892 roku w parku Źródliska.

Poszczególne roczniki „Łodzianina" zawierają również felietony, opowiadania i wiersze znanych pisarzy i poetów. Redagowaniem części literackiej kalendarza trudnił się przez szereg lat mieszkający podówczas w Łodzi poeta i dziennikarz, Artur Gliszczyński. „Łodzianin" ukazywał się bez przerwy przez siedemnaście lat do 1905 roku, to znaczy do czasu śmierci jego wydawcy.

W 1900 roku pojawił się w Łodzi kalendarz „Czas", wydawany przez Różę Dobranicką, a tłoczony w zakładzie drukarskim Karoliny Kolińskiej. Do wspomnianego kalendarza, mającego już wyraźnie charakter księgi adresowej, dołączony był w postaci wklejki plan Łodzi. W pierwszych rocznikach „Czasu" znalazło się również nieco miejsca na dział popularnonaukowy. Zamieszczano w nim podstawowe wiadomości z zakresu higieny, przystępnie opracowane przez miejscowych lekarzy. Włączenie do kalendarza-informatora działu popularnonaukowego wydawca uzasadniał następująco: „Wydawnictw popularnonaukowych mamy dotąd niewiele, zaś istniejące są, niestety, jeszcze mało... popularne wśród szerokiego ogółu. Więc to „przemycanie" wiedzy do każdego domu, który kupuje kalendarze — zdawało nam się czynem nie bez wartości obywatelskiej".

„Czas" ukazywał się aż do wybuchu pierwszej wojny światowej. Ostatnie roczniki kalendarza, oprócz obszernego działu adresowanego z terenu Łodzi, zawierały także sporo informacji . miast sąsiednich: Pabianic, Zgierza, Tomaszowa, Brzezin i innych.

Dawne kalendarze łódzkie treścią swą dostosowane były do potrzeb przemysłowego miasta. Dominowała w nich przede wszystkim informacja o instytucjach miejskich i przedsiębiorstwach przemysłowo-handlowych, jak również reklama tychże przedsiębiorstw. Szczególną pozycję we wszystkich omawianych tu kalendarzach stanowiła rubryka „Taryfa domów", która była swoistą „księgą obywatelstwa łódzkiego". Z uwagi na swój specyficzny charakter, pierwsze kalendarze łódzkie znajdowały nabywców głównie wśród kupców i fabrykantów, posiadaczy nieruchomości i ludzi wolnych zawodów.

JAN JANISZEWSKI

KOŃSKIE OPOWIEŚCI

PAN DOKTOR

Pan w białym fartuchu kręcił głową wokół osi papierosa, ujętego między drugim a trzecim palcem lewej ręki, ze zdecydowanie odchylonym kciukiem. Gospodarz, stojący obok niego, trzymał klacz za kantar i recytował dolegliwości:

— Żreć — nie żre, pić — nie pije, tara się ino. Lewatywa była. Przeganiać — przeganiałem.

— Przeprowadzić — wyrzekł flegmatycznie pan w kitlu. A kiedy gospodarz zatrzymał się przed nim z klaczą, wydał kolejne polecenie:

— Położyć!

Gospodarz, wspólnie z żoną i kilkunastoletnim synem, położyli chorą na rozścielonej słomie. Z samochodu, stojącego na podwórzu, wysiadł drugi pan. W tej chwili powoli wkładał biały fartuch.

— Trzymać, a nie dusić — wyrzekł pan z papierosem do rodziny klęczącej nad stękającym zwierzęciem. Wówczas pan, przebrany już w biel lekarską, mruknął niewyraźnie jakieś słowa łacińskie, po czym dodał porozumiewawczo:

— Zgadza się, panie Franciszku?

— I ja też tak sądzę, panie doktorze — przytaknął pierwszy pomocodawca.

— Proszę więc przygotować pole operacyjne!

— Woda gotowana, ciepła, ale nie gorąca, mydło, ręcznik — dwa — dokończył myśl przewodnią pryncypała pan Franciszek, starannie gasząc papierosa lewym obcasem buta.

— Instrumentarium — wyrzekł z powagą pan doktor, a pan Franciszek podszedł do samochodu i wyciągnął z tylnego siedzenia metalową skrzyneczkę.

— Józek, powiedz babci — przekazał polecenie lekarza gospodarz — żeby wystudziła wodę w saganie, a Zośka niech przyniesie ręczniki i mydło — pachniące.

Na podwórzu panowała grobowa cisza, zamącona jedynie, od czasu do czasu, ujadaniem psa na łańcuchu. Panowie w bieli, po dokonaniu zabiegu, myli ręce pod studnią. Pan Franciszek sięgnął flegmatycznie po papierosa, zapalił ronsonem, spojrzał na odchylony kciuk lewej ręki i stwierdził urzędowo:

— A teraz zapiszemy.

Po czym wszyscy udali się do domu na przygotowane przez babcię śniadanie, a Józek odprowadził gniadą do stajni.

Siadając przy stole, pan doktor zwrócił się do gospodarza:

— Czysta ściółka, przeprowadzać parę razy dziennie, koniczyna, marchew.

Pan Franciszek, kiwając aprobująco głową, dodał:

— Pamiętać o regularnym pojeniu!

Pan doktor mrugnął jednym okiem na gospodarza:

— Ja, dziękuję — prowadzę wóz.

STASIO

— Same kasztany, jak w trzecim szwadronie — mówił chyba do siebie, nie zwracając na mnie uwagi, gdy tabun kilkudziesięciu źrebaków galopował z pastwiska do stajni. Doborową stawkę prowadziła faworytka pana wachmistrza Beatrice, zwana przez niego Beatką. Przodownica, mijając nas, wierzgnęła w bok, demonstrując kondycję i fantazję.

— Jak doczekam, to poprowadzę na niej defiladę majową w Kątach.

Teraz ja z kolei udawałem, że nie słyszę słów wachmistrza. Tymczasem młodzież znalazła się pod dachem, a w odległości ok. dwustu metrów ukazał się Dunaj. Nie śpieszył się. Obok niego biegł pastuch Józek.

— Takiemu to dobrze. Perszeron. Niczym się nie martwi — kontynuował swój monolog wachmistrz. — Nadawałby się z Dunajem do taborów. No, chodźmy do domu. Moglibyśmy coś zjeść. Weszliśmy do kuchni. Graniczyła ścianą ze stajnią źrebaków, mieszkanie bowiem brygadzisty źrebięciarni było pod jednym dachem z budynkiem hodowlanym.

— Marychna — zwrócił się wachmistrz do żony — grzybki, boczek, ogórek, kwaśny ale. Kieliszków nie trzeba. My tak na raz — pod herbatę.

Stół był już zastawiony. Zlecenie więc wynikało chyba z wewnętrznej potrzeby wydawania rozkazów, nawet w domu.

— No to... — mrugnął do mnie gospodarz, nalewając wódkę. Wznosząc szklankę, wyprostował się, skrzywił z niesmakiem i stwierdził:

— Berbelucha, panie podchorąży. Nie na pańskie gardła. Niedaleko mojego pułku, na Grunwaldzkiej, była speluna — „Tunel Grunwaldzki" — zatopił się we wspomnieniach — przyszedł tam podporucznik, jak było krucho przed pierwszym, ale to była najwyższa szarża. Najwięcej trafiało się podoficerki i ułanów. Przychodzili też rodzice chłopaków i rodzina, w niedzielę, jak ich odwiedzali...

Za ścianą rozległ się nagle tupot i ni to kwik ni to rżenie.

— Nie bój się, Marychna, uspokoją się. To te cztery, co przyprowadzili wczoraj z Gniechowic. Wkupują się do krzebłowickich. Jutro już będą jak bracia. Krzywdy se nie zrobią — bose. A może byś nam tak dosypała?

— Wstydziłbyś się, Stasiu! Tak w szklankach? Podam kieliszki.

Utartym zwyczajem dosiedliśmy krzeseł, jak koni, demonstrując prawidłowy dosiad.

— Podchorąży trzymie ręce jak prawichna, a prawy okieć wystaje jak lanca.

— A pan wachmistrz mógłby wciągnąć brzuch — odciąłem się.

Przesiedliśmy się znów do stołu.

— Aha, na czym to ja skończyłem?

— Na Tunelu — podpowiedziałem.

— Do Tunelu przychodziliśmy też po defiladach i konkursach na hippodromie. Pamiętasz? Skakał wtedy Zahorski, przyjeżdżał z Leszna Gutowski, szedł jak burza na przeszkody Czheidze z siódemki. Albo Dąbski — Nehrlich z dak-u, artylerzysta. Też jeździł...

— Powiedz, Stasiu, jak to było z Felkiem Sztamem? — wtrąciła się do wspomnień pani Maria.

— Felek był tylego wzrostu, co ty, Jasiu. Jakbym go teraz widział. Popóźniej zajął się boksami. Ilu spod jego ręki wyszło! A ja? Co rok wypuszczam kilkadziesiąt źrobków. W tym roku pójdzie trzydzieści. Dwudziestka chyba do Szwajcarii i Holandii. Wspomni mnie który? Nasyp, Marysiu.

WIENIAWA

Przyjechał w dniu święta pułkowego. Pierwsze kroki skierował do stajni, do swojego wierzchowca. Dosiadł go. Kasztan szalał pod siodłem. Generał był zadowolony i gniewny.

— Przejeżdżać, przejeżdżać — polecił luzakowi, gdy zsiadł z konia.

Następnie udał się do plutonu podchorążych.

Staliśmy w jednym szeregu. Generał rzucał kolejno pytania. O treści ich świadczyły odpowiedzi kandydatów na oficerów.

— Tradycja rodzinna...

— Chcę służyć w broni naszych wiekowych tradycji...

— Pociąga mnie służba ojczyźnie i piękno sportu.

Zadumał się Wieniawa.

— A pan, podchorąży? — zwrócił się do mnie.

— Fantazja.

— Zostaniesz dziś moim adiutantem. Rotmistrzu, dziękuję. W dwa lata później spotkałem generała, wówczas ambasadora przy Kwirynale, w kawiarni „Swan" przy Nowym Świecie. Siedziałem przy stoliku z koleżankami i kolegami. Zrozumiałe, że chciałem się popisać znajomością tak znanej postaci, zwłaszcza przed Tusią, najpiękniejszą blondynką z mojej uczelni.

— Podszedłem więc do szatni, gdy generał zdejmował płaszcz.

— Panie ambasadorze, proszę posłusznie o pozwolenie przebywania w lokalu.

— Pamiętam cię, adiutancie, ale wiesz chyba, że ambasadorem może zostać nawet cywil... Czy zechcesz mnie przedstawić tej uroczej pani?

Zrozumiałem wtedy uczucia pana Colonny-Walewskiego, kiedy Korsykanin zainteresował się piękną Marią.

Fot. Archiwum

KARYKATURY SŁAWOMIRA ARABSKIEGO

Edward Radulski

Aleksander Bardini

Roman Golański

Jerzy Skolimowski

JACEK BROMSKI - STORY

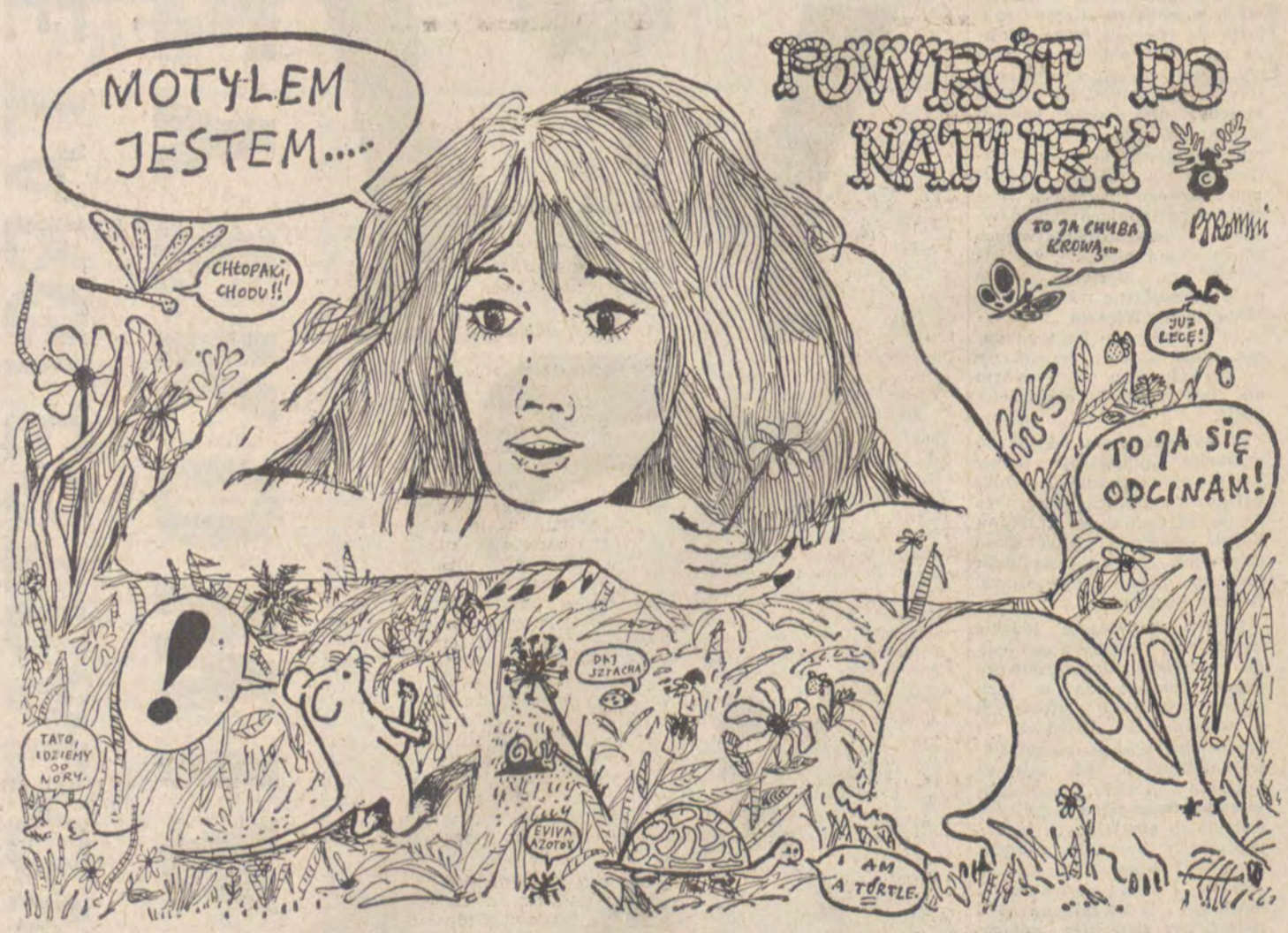

POWIĘKSZENIA

ZAGADKOWY STWÓR

Niezwykłego odkrycia dokonano w Spółdzielni Pracy **„Millenium" w Kaliszu** (ul. Pułaskiego 30, tel. 24-34) o czym nie omieszkano powiadomić PT Klientów. Stworzono tam bowiem **„MYSZKĘ BADYLARKĘ — 22 CM DO 3 LAT"**. W kodzie szyfrowym stwór ten nosi następujące oznaczenie: **„ZN 71 — CZSP E — 10/125 SWW 2822 — 5109 109/73"**.

Po bliższym zbadaniu okazało się, że **„MYSZKA BADYLARKA"** przypomina bardziej szczura, który wpadł do wiadra z różnokolorowymi farbami. Powiedzmy jednak, że szczur ten udaje mysz, dlaczego jednak **„BADYLARKĘ"** — 22 cm do 3 lat"? Pozostanie to słodką tajemnicą producentów.

BŁYSKOTEK

Sprawozdawca sportowy „Głosu Robotniczego" doniósł z meczu ŁKS — Gwardia:

„Jedynie od czasu do czasu zjawiał się w działaniach błysk dobrej piłki nożnej, kiedy w akcji czuło się i myśl przewodnią i nienaganne wykonawstwo".

Z niecierpliwością czekamy na następny błysk stylistyczny!

RECEPTA

Receptę na najlepszą ekspedientkę wymyślono w Tomaszowie Mazowieckim, a poinformował o tym „Głos Robotniczy". Co — zatem robić — aby zostać najlepszą ekspedientką? Tak pracować, aby od 26 marca do 15 kwietnia 1975 roku jak najwięcej klientów było zadowolonych i zechciało wypełnić odpowiednie ankiety. Przez resztę roku można spokojnie udawać księżniczkę za ladą.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652 44, 217 98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 656. U-12. Nr indeksu 37006/36762